Nr. 29 (1229). Warszawa, 3 (16) Lipca 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dotychczas niepodobna z niezawodną pewnością oznaczyć strat, poniesionych przez obie strony na wodach Portu Artura w d. 23 z. m. Japończycy nie ogłosili sprawozdania urzędowego a dość szczegółowego i admirał Aleksiejew po pierwszem zawiadomieniu telegraficznem o wypłynięciu floty rosyjskiej i spotkaniu się z nieprzyjacielską, w tydzień po wypadku nadesłał formalny już buletyn, ale i z niego nic więcej nie widać, prócz tego, że dla „uchronienia się od większych strat“ eskadra wróciła do portu; że Japończycy rzucili się na dwa ostatnie okręty, ale bez skutku; że nazajutrz przy brzegach ujrzano 12 torped Whiteheada z dalekiej, a więc również bez skutku, wyrzuconych odległości; że nakoniec dwa mniejsze statki japońskie doznały uszkodzeń poważnych. Wszystko to być mogło równolegle z faktami, wskazanymi w depeszy admirała Togo; złączenie też obustronnych doniesień może dać wyobrażenie o całości nietylko samej rozprawy, ale i jej wyników. Zgodnie z doniesieniem japońskiem, późniejszy buletyn adm. Aleksiejewa mówi o 11 wielkich okrętach, wyprowadzonych z Portu na morze.

Togo doniósł o nowej rozprawie, d. 27 z. m. Tego dnia w porze nocnej wpłynął on już do portu wewnętrznego i miał jakoby uniezdolnić do boju wielki statek typu krążownika i drugi mniejszy.

Na lądzie pod Portem Artura odbywają się ciągłe starcia i walki o każdą piędź ziemi, zwłaszcza każdą wyniosłość, nadającą się pod baterye. Od strony północno-wschodniej Japończycy posunęli się znacznie ku warowni. Sprzyja im tu bliskość Talien-uanu i Dalnego, gdzie po wydobyciu min mają wyborną przystań i wylądowisko dla wojsk. D. 26 z. m. odnieśli znaczne korzyści, tak iż od twierdzy oddaleni byli o niecałe 14 kilometrów. Taktyka zachodzenia tyłów, stale zachowywana w walce lądowej, i tutaj, gdzie siły przeciwne są liczebnie słabsze i na żadną pomoc liczyć nie mogą, wykazuje swą skuteczność. Oblegać formalnie Portu Artura Japończycy nie będą: przypuszczą szturm, ponowią go w razie niepowodzenia, a jeśli im się ponownie fortecy wziąć nie uda, poprzestaną na obsaczeniu, zdając czyn ostateczny na sam czas.

W Mandżuryi południowej deszcze, potoki z nieba, od końca czerwca, wstrzymały działanie. Owo ustawianie figur na szachownicy, które w przeszłym tygodniu pozwalało przewidywać większą rozprawę bojową — zwłaszcza wobec przeniesienia kwatery głównej gen. Kuropatkina do Hai-czengu — okazało się zawodnem: nietylko boju nie było, ale nawet Japończycy, rozpędziwszy się do niego, po zajęciu szczytów trzech wąwozów, czyli przełęczy, prowadzących nad Liao, nad wszelkie spodziewanie opuścili je, powstrzymali ruchy naprzód i nawet pozornie mieli się ku odwrotowi. O ile wnosić można z telegraficznych doniesień, z gazeciarskich otrąbień, z całą lekkomyślnością, reporteryi wrodzoną, dokonywanych w tej wojnie — nie zrzekli się jednak Japończycy ani Saimatsi, które byli już opuścili, ani Feng-huang-czengu, ani wreszcie Hsiu-janu (Siu-jan), niezmiernie ważnego. Ostatnią tę miejscowość nawet obrali za punktześrodkowania swych sił. Odwrót byłby dowodem niedołęztwa, a nawet bezmyślności; deszcze nie nakazują odstępowania od zachodu na południe, ponad morze; prawdopodobną jest zmiana frontu, przewinięcie się z północo-zachodu na południo-wschód, z załomem kątowym w Hsiu-janie. Deszcze rzeczywiście opóźnią rozprawę stanowczą, oczywiście, na niekorzyść Japończyków.

Zagadkowość i, co więcej, nawet dla takich powag, jak *Reichswehr*, redagowana przez oficerów wiedeńskich, chaotyczność ruchów japońskich na południe i wschód linii Kai-czau—Siu-jan znalazła nagle swe rozwiązanie w pewności, że wszystkie te ruchy zmierzały do zajęcia pierwszej z powyższych miejscowości, na mapach angielskich nazywanej także „Kai-ping.“ Stało się to d. 9 b. m. Usadowienie się w tej ważnej miejscowości przy posiadaniu jednoczesnem wąwozów Fonszu, Sinkai, Da i Czypan, daje podstawę do działania od południa przeciw Hai-czengowi, a skazuje Niu-czuang na przejście w ręce japońskie. Strategia napoleońska byłaby opanowała Kai-ping już dwoma tygodniami wcześniej, wskutek wygranej pod Wafanku.

Słynna komisya parlamentarna dla oczyszczenia republikanów — dotychczas nie wyczyściła jeszcze nic, a zdaje się, że trochę zanieczyściła oblicze Milleranda. Leygues wniósł interpelacyę umyślną; Combes przeprowadził odroczenie jej aż do sprawozdania komisyi. Ojciec Rey, który miał ocalić skargę od zarzutu potwarzy, nie stanął do badania; wszystkie zaklęcia nacyonalistyczne nie wystarczyły do wytrącenia świątobliwej osoby z jej bezwładności. Niewątpliwie to samo już daje wskazówkę czczości głównego oskarżenia.

Izba deputowanych we Francyi ukończyła już obrady nad artykułami nowej ustawy wojskowej, niewyłączonymi z pod rozpraw z powodu ich sporności i przyjęła całą ustawę 491 głosami przeciwko 72. Teraz zaczną się rozprawy nad rozporządzeniami, o które rząd będzie musiał walczyć.

Cesarz austryacki d. 29 b. m. podpisał na mocy § 14 rozporządzenie, oznaczające stosunek wydatków wspólnych po strąceniu 2 od sta na ciężar Węgier z pozostałych 98: 66^{40}_{49}% zapłacą Przedlitawczycy, 33^{9}_{49} Węgrzy. Ugoda między obu połowicami cesarstwa austryackiego jeszcze nie zawarta. Banffy, tworzący nowe stronnictwo, a właściwie pragnący znowu dostać się do rządu, piorunował d. 2 lipca w sejmie peszteńskim i na ugodę i na sam budżet, i na cały stosunek do siostrzanej Przedlitawii, i na rząd, i nawet Khuen-Hedervarego jako ministra *a latere*. Będą nowe burze, cała serya nowych burz, robionych zapomocą znanego wynalazku XIX w.; Koszutowcy i niepodlegli zapalczywie oklaskiwali Banffy'ego.

Prawodawczy pomysł pruski stał się faktem spełnionym; d. 3 lipca już i Izba panów, po uchwale Izby niższej przyjęła projekt rządowy, zabraniający kolonizowania ludu w ziemiach polskich — bez pozwolenia nadprezydentów i komisyi kolonizacyjnej.

O zjeździe w Kiel w gazetach dość cicho; ciszy też potrzebują roboty dyplomatyczne tam postanowione.

Tybetańczycy przysłali do Younghusbanda wywiady o pokój.

Lord Curzon, wicekról Indyj, bawiący w Anglii, miał mowę o konieczności starcia się z mocarstwem europejskiem; przed koniecznością tą wicekról się nie cofnie. Zdaje się, że stosunki emira Afganistanu z cesarstwem indyjskiem obudzają w wicekrólu tę gadatliwą czujność i tę na platformie mityngowej energię. Głośny bęben za górami.

D. 8 i 9 b. m. z powodu rozpraw nad budżetem w Izbie węgierskiej opozycya stoczyła ostrą walkę z rządem. Drugiego dnia rozpraw przyszło do bardzo dotkliwych dla dynastyi dyskusyj nad podwyższeniem listy cywilnej króla; Apponyi prowadził do boju, lewica przyklaskiwała.

Komisya 33-ch do sprawy milionów, którymi kartuzi jakoby gotowi byli przekupić p. Combes'a w osobie jego syna, Edgara, sparzywszy się jeszcze na przysiędze kucharza Cendre'a, na wniosek swego sprawozdawcy Collina uchwaliła: 1) przekupstwa, ani nawet usiłowania jego nie było; 2) szkoda, że p. Combes swojem wynurzeniem, że właśnie było, wywołał niepotrzebny niepokój; 3) w śledztwie sądowem władza wykonawcza dopuściła się nadużyć.

Cesarz Wilhelm wysłał nadzwyczaj serdeczny telegram do pułku wyborskiego, którego jest szefem, a który teraz powołany został na widownię wojny. Monarcha niemiecki winszuje pułkowi sposobności do walki z nieprzyjacielem; cieszy go to, że pułk dostąpił zaszczytu walczenia za ojczyznę, za cesarza i dla sławy oręża rosyjskiego. Telegram kończy się słowami: „Moje życzenia towarzyszą pułkowi: niech Bóg błogosławi jego chorągwie.“

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

Już słońce znikło za górami, gdyśmy wjechali na szeroką, pełną gwaru i ruchu ulicę bogatej wsi Huon. Wieśniacy wracali z pól, prowadząc woły, obładowane pługami i niosąc narzędzia. Inni odwiewali przed domami świeżo omłócone zboże, sypiąc omłóciny na krawędź dowcipnie urządzonych płaszczyzn pochyłych, po których na jedną stronę staczało się ziarno, a na drugą plewy i śmiecie. Ponieważ nie było wiatru, młodzi chłopcy tworzyli go sztucznie, machając wielkimi wachlarzami z piór i skóry. Gdzieindziej cały rój młodzieży kręcił wesoło młynek, parobcy rzucali łopatami groch na sita oddzielcze. Wszędzie brzmiały śmiechy i wesołe głosy; z podmurowań domów buchały obiecujące, białe dymy, czerwone łuny świeciły w kuchniach, z końca w koniec rozlegały się piskliwe nawoływania dzieci, wabiących towarzyszów, aby przyszli przyjrzeć się przejezdnemu „Jangin“ (Europejczykowi), którego po cichu zwano też „Jang-ak-kuj“ (zamorskim djabłem). Kaczki, gęsi ciągnęły poważnie rzędami na nocleg, kur już nie było widać, tylko świnie i psy uwijały się jeszcze po ulicy, podniecone ogólnym ruchem. Wspaniałe woły korejskie szły poważnie za oraczami lub leżały przed drzwiami domów, czekając wieczerzy, podczas gdy ich gospodarze zasiedli już gromadkami na przyzbach, paląc fajeczki, gwarząc i spoglądając ciekawie na małą naszą karawanę, przeciągającą przed nimi.

Korejczycy są wogóle ciekawi, a wieśniak korejski jest wprost żądny wszelkich nowin i widowisk. Rok cały przykuty do roli, którą skrzętnie uprawia, nie ma czasu na dalsze wycieczki i zna świat i jego zdarzenia jedynie z opowiadań wróżbitów (pok-ca) i przekupniów wędrownych (pusań). Oto, co mówi o trudach i wczasach korejskiego wieśniaka autor ciekawej rozprawki „On jest wieśniakiem“ *): „Pierwszą cechą, uderzającą cudzoziemców w korejskim wieśniaku, jest jego pilność. Nie posiadając żadnych narzędzi, oszczędzających mu pracy, liczyć jedynie musi na swoją siłę i swego wspólnika, wołu. Czas obecny (połowa czerwca) jest porą przesadzania ryżu, w tym celu opuszcza on dom o wschodzie słońca i pracuje ciężko do zmroku, stojąc przez cały dzień bosy i nagi w wodzie, z boleśnie zgiętemi plecami, oblepiając mułem kępki ryżu w błotnistym szlamie. W ciągu dnia pomagają mu w tej robocie żona i synowa, równie zręczne w przesadzaniu ziarn i peleniu szlamów, jak mężczyźni. Głównymi zbiorami, którym poświęcają swój czas, jest ryż, jęczmień, pszenica, bób i zwyczajne warzywa; na hodowli tych zbóż upływa im rok cały. Podczas zimowych miesięcy staje się Korejczyk rękodzielnikiem i wyrabia: maty, sandały, parawaniki, poszycia lub zbiera na zboczach wzgórzy drzewo i chrust, które wysyła, po zatrzymaniu pewnej części na własny użytek, wielkiemi partyami do najbliższych miast. Dwa miesiące w roku uważane są jako „czas próżniaczy,“ pierwszy i szósty miesiąc. W ciągu tych miesięcy jest swobodniejszy, można go znaleźć w domu, gotowego słuchać każdego, kto zajrzy.“

*) „The Korean Repository,“ June 1898 r. str. 230.

Korejczycy nie znają wcale niedzielnego, regularnego wypoczynku. Przerwę w ich pracy czynią jedynie uroczystości noworoczne, następnie dni ofiarne na cześć przodków własnych i domu panującego, święta bogów miejscowych i okręgowych, obrządki rodzinne — wesela, pogrzeby, urodziny, zmiana lub nadanie imienia... Przeciętnie świętują o wiele mniej, niż wieśniacy europejscy, nawet po zaliczeniu godzin spędzanych co jakiś czas na sąsiednim jarmarku. Jarmarki wprowadzone zostały w Korei przed 600 laty i uzyskały wielkie rozpowszechnienie; w każdem miasteczku, nawet w niektórych większych wsiach co pięć dni odbywają się targi, gromadnie odwiedzane przez chłopów. Mają one ogromne znaczenie handlowe, gdyż dotychczas większość przedmiotów użytku wieśniaczego wyrabiają w chwilach wolnych sami włościanie i włościanki. Ciągną więc tłumy biało ubranych chłopów, niosąc na plecach, a kobiety na głowach, rozmaite przedmioty i wyroby lub prowadząc woły zaprzężone do ciężkich wozów albo objuczone chrustem, ziarnem, sianem, rybą, owocami, konopiami, matami itd. Pędzą na sprzedaż woły, konie, świnie; niosą w koszach drób — kury, gęsi, kaczki, a w workach upolowaną zwierzynę. Słusznie Korejczycy chlubią się swem bydłem rogatem; stanowczo mają najlepszą jego odmianę na Dalekim Wschodzie. Wspaniałe osobniki, szerokie, rosłe, na krótkich nogach, z wielkiem, obwisłem podgardlem, przypominają angielskie woły Durham i dorastają 1 metra 46—50 centym. wysokości. Ważą nieraz z górą 700 funtów, są bardzo mocne i rzeźkie. Z łatwością ciągną na dwukołowcu 1,600 funtów i nieocenione są w drodze, przy przeprawach przez bystre rzeki, grzązkie błota, strome góry... Koń jeszcze się czasem potyka i pada, wół korejski nigdy... Używane wierzchem, chodzą szybkim krokiem, wcale nie wolniejszym od końskiego. Niektóre osobniki z osady rogów, z szerokiego, kędzierzawego łba, z dzikiego spojrzenia i dość długiej

Leonidas Andrejew.

W mglistą dal.

(Ciąg dalszy).

Gdy Mikołaj wyszedł, Aleksander Antonowicz zamknął za nim drzwi, obejrzał się, podszedł ku kominowi, i, milcząc, silnie uderzył w biały, błyszczący kafel. Potem wytarł chustką rękę, do której przylgnęło nieco wapna i siadł do pracy. Twarz jego pokryła się znów tą straszną bladością, która przypomina śmierć.

Przy powitaniu Mikołaja z babką, nikt nie był obecny, ale widziano, że wyszedł od niej ponury i jakby trochę wzruszony. Kiedy białe drzwi jego pokoju zatrzasnęły się za nim, wszyscy poczuli ulgę: od tej chwili przestał być gościem i od tej również chwili powstał ten straszny lęk, który szerząc się, ogarnął wkrótce dom cały. Zdawało się, że wszedł tu i nazawsze zajął miejsce ktoś zagadkowo niebezpieczny, bardziej obcy, niż pierwszy lepszy człowiek z ulicy i straszniejszy, niż zaczajony opryszek. Tylko Fenogen Iwanycz nie odczuwał tego, bo upiwszy się z radości, spał w łóżku kucharza, nawet we śnie zachowując wyraz godności i odrzucając nieco prawą rękę.

W bawialni Ninetka opowiadała cicho studentowi o tem, co zaszło siedm lat temu. Mikołaj wtedy został z jakiegoś powodu wydalony wraz z kilku kolegami z instytutu technologicznego i tylko stosunki ojca zdołały go wybawić od wielkiej kary. W gorącej sprzeczce z synem porywczy Aleksander Antonowicz uderzył go; tego wieczoru Mikołaj opuścił dom i wrócił dziś dopiero. Oboje — słuchacz i opowiadająca — kiwali głowami i przyciszali głosy, a student dla dodania ducha Ninetce, ujął nawet i głaskał jej rękę.

II.

Mikołaj nie przeszkadzał nikomu; mówił mało, innych zaś słuchał, nie niechętnie wprawdzie, lecz z jakąś górną obojętnością, jakby wiedział naprzód, co mu ktoś powiedzieć może. Niekiedy w toku opowiadania odchodził; cały zaś czas miał taki wyraz twarzy, jak gdyby wsłuchiwał się w coś oddalonego, ważnego, co on sam mógł tylko usłyszeć. Nie wyśmiewał nikogo i nikomu wyrzutów nie robił, mimo to, gdy wychodził z biblioteki, w której przez większą część dnia przesiadywał i błądził w roztargnieniu po całym domu, wstępując to do siostry, to do studenta, zdawało się, że chłód roznosi z sobą: w ludziach powstawało takie uczucie, jak gdyby mieno ich sądzić i karać za jakieś przestępstwo, przez nich popełnione. Był teraz dostatnio ubrany, ale nawet w odzieży wykwintnej nie harmonizował z wspaniałością i przepychem komnat, lecz wyglądał, jak coś obcego i wrogiego.

I gdyby wszystkie te drogocenne błahostki zdolne były czuć i mówić, powiedziałyby pewnie, że mrą ze strachu, gdy on zbliża się lub bierze którą z nich do ręki i z dziwną ciekawością ogląda. Nigdy niczego nie upuścił, rzecz każdą stawiał na dawnem miejsce, ale samo jego dotknięcie odbierało każdej wdzięcznej figurce jej wartość, po jego odejściu stała pozbawiona uroku, zbyteczna. Dusza jej, stworzona przez sztukę, topniała w jego rękach, pozostawał tylko niepotrzebny kawał bronzu, czy gliny.

Raz przyszedł do pokoju Ninetki w czasie lekcyi rysunków. Kopiowała właśnie jakiś obraz, bardzo dobrze chwytając po-

sierści wydały mi się uderzająco podobnemi do jakuckich mieszańców bawolich, zwanych tam „chińskiem bydłem" (kytaj sösü). Nie wątpię, że i w bydle korejskiem płynie dużo krwi bawolej, której one zawdzięczają swą siłę i dorodność. Na Na wzrost ich wpływa bezwątpienia ta okoliczność, że Korejczycy wcale nie spożywają nabiału, nie wyrabiają ani masła, ani sera, cielęta więc ssą mleko do syta i długo. Obchodzą się krajowcy z bydłem rogatem dobrze, pasą w nocy na trawie, a w zimie oraz w czasie robót dają gotowaną trzęsionkę ze słomy i zielska z bobami, których wół dostaje dziennie koło 5 funtów (suchych). Dużo bydła korejskiego rok rocznie idzie do Japonii i Kraju Ussuryjskiego, gdzie jest chętnie nabywane ze względu na większą odporność na karbunkuł i inne epizootye, niszczące nieustannie stada bydła rosyjskiego. W Korei niema stad specyalnie hodowanych dla handlu, ale każdy zamożniejszy wieśniak karmi opasy i cielęta. Nie widząc hurtow na pastwiskach, wielu podróżników wnioskowało, że w Korei bydła mało, lecz wniosek ten uważam za mylny, zarówno jak mniemanie o braku bydła w Chinach. Stanowczo więcej go tu i tam, niż w wielu miejscowościach Rosyi. Mięso, skóry i łój skwapliwie są skupywane do Japonii, gdzie bydła o wiele mniej i gdzie zmiana kuchni w kierunku zwierzojadztwa, wprowadzone używanie mydła, wielu smarów oraz wyrobów skórzanych na wzór europejskich niezmiernie zwiększyły zapotrzebowanie produktów zootechnicznych. Nizkich koników korejskich, stosunkowo mniej używanych do robót polowych, widać mało na drogach, objuczonych towarami lub niosących jeźdźców. Są mocne, wytrwałe i zgrabne, ale dzikie. Korejczycy, którzy przejęli od Chińczyków poszanowanie dla wołu, konia traktują niedbale, często okrutnie, zachowując względem niego obyczaje koczowników z nad Amuru i stepów buryackich. Nie pozwalają im kłaść się, rzadko w drodze poją i wcale nie starają się zabezpieczyć od słoty i zimna. Słyną w Korei konie ze stadnin rządowych z miejscowości Ul-sań, na południowo-wschodniem wybrzeżu w prowincyi Kiön-sań-do, oraz na wyspie Quelpart i małej wysepce Grinto, u zachodniego wybrzeża, niedaleko miasta On-czin, w prowincyi Choau-hä-do. Mieszkańcy tej wysepki trudnią się wyłącznie pasterstwem koni.

Konie trzymają głównie ma-phu (woźnice towarów); niedawno dużo koni miały wsie pocztowe, obowiązane wozić urzędników; obecnie z upadkiem dawnych poczt i stamtąd konie przeszły częścią do maphu, częścią zostały sprzedane dla wojska. Mało bardzo widziałem w Korei osłów, a jeszcze mniej mułów, tak lubianych, pięknych i powszechnie trzymanych w Chinach i Mandżuryi.

Świnie korejskie są nieduże, rzadko ważące wyżej nad 30 funtów, zawsze czarne, obrosłe ostrą szczeciną, niezgrabne, lecz bardzo ruchliwe. Mr. Malcolm C. Fenwick mówi, iż z wielkiem niedowierzaniem wziął się do hodowli „czarnych świń korejskich," lecz osiągnął niezwykłe rezultaty i przyznaje, że Korejczycy mają racyę, uważając wieprzowinę europejską za niesmaczną. On twierdzi, że wieśniak korejski, nawet przy obecnej swej biedzie, może wypasać w ciągu 8 miesięcy do 300 funtów wieprzowiny *). Zawsze widziałem w wioskach korejskich dużo tej trzody, która też jest przedmiotem handlu i nawet wywozu.

Wogóle i drobiu i zwierząt domowych o wiele jest tu więcej, niż we wsiach japońskich, choć mniej naogół, niż w chińskich. Nie widziałem wcale w Korei kóz, owiec, indyków; zato dużo wszędzie wałęsa się psów, często marnych i oparszywiałych, lecz doskonałych stróżów, nieznoszących zapachu Europejczyka. Korejczycy chętnie jedzą psie mięso, i psy oprawne widać często wiszące w miejskich jatkach w jednym rzędzie z wieprzowiną i wołowiną. Zresztą ta ostatnia jest droga, gdyż bicie bydła rogatego skrępowane jest rozmaitymi przepisami, które uczyniły je przywilejem urzędników i szlachty.

Z drobiu bardzo poważana jest kaczka, która wraz z gęsią uważana jest za symbol wierności małżeńskiej i, jak u Chińczyków, musi znajdować się w liczbie podarunków weselnych. Ubodzy zastępują ją ptakiem papierowym.

Bardzo smaczne i nośne są kury korejskie, specyalnie karmione gryką. Ten pokarm nietylko zwiększa ilość jajek, lecz i polepsza ich smak. W miastach i po wsiach dużo półdzikich gołębi popielatych. Kotów widziałem w Korei bardzo mało.

Po za tem mają Korejczycy jeszcze pszczoły, które dają doskonały miód, ale z któremi nie umieją się obchodzić. Wszystkie ule, jakie widziałem, były albo wypróchniałymi pniami, nakrytymi kamieniem płaskim, albo poprostu wielkimi garnkami, wywróconymi dnem do góry. Z każdego ula mają od 3 do 8 misek miodu, wartującego 3 do 8 kop? (30—80 phun) każda. Mają też Korejczycy jedwabnika, którego wykarmiają na morwie i dębie, ale jedwabnictwo słabo jest rozwinięte. Nitka jedwabna, mocna ale gruba, podobna do mandżurskiej, tkaniny prostackie, wcale prawie nie obracają się w handlu, tkane są wyłącznie w domu i dla własnego użytku. Najlepszego jedwabiu-surowca dostarczają okolice Seulu i południowe prowincye.

*) „The Korean Repository," r. 1898, str. 291.

XIII Cmentarze i pogrzeby.

Od wsi Huon do Seulu pozostało 250 „i"; byliśmy więc w połowie drogi. Dzikie wąwozy górskie, wązkie ścieżyny, puste doliny, wsi oblegane przez tygrysów, były za nami. Z każdym krokiem posuwaliśmy się w głąb okolic coraz ludniejszych, bogatszych i lepiej uprawnych. Gdyby nie liczne zwały kamieni i łańcuchy siwych, nieprzystępnych opok w oddali, miałbym wrażenie, że podróżuję po najpiękniejszych miejscowościach Chin północnych. Też same pola, zaorane w długie, wysokie skiby, też same wioski wśród gajów. Jedynie ilość pól ryżowych była tu większą i wciąż rosła w miarę naszego posuwania się na zachód i południe.

Pogoda była piękna, noce zimne, ale dni ciepłe, słoneczne, w południe upalne, choć mieliśmy już 28 października. O półtory mili od noclegu, po przebyciu małej przełęczy, wyszliśmy nad rzeczułkę, obsadzoną pięknemi, staremi drzewami. Z obu stron na podgórzach zarośniętych sosnowymi laskami widać było kurhany wspaniałych mogił, całe ich szeregi. Niektóre starannie okopane od północy półkolistym wałem, wznosiły się samotnie albo w towarzystwie 2—3 pomniejszych. Prowadziła ku nim zwykle droga szeroka, zdobna wrotami drewnianemi i stały zazwyczaj przed nimi małe kamienie (tu-di) bogów-opiekunów mogiły lub słupy kamienne z napisami i kamienne figury ludzkie. Zwiedziłem jedną mogiłę na prawo od drogi. Zajmowała obszerną przestrzeń i przyległy, ładny las sosnowy należał do niej, dzięki czemu zapewne ocalał. Przed kopcem stała nizka, ale dość duża płyta kamienna, przed nią — mniejsza kwadratowa, z obu stron wysokie, rzeźbione słupy kamienne. Cmentarzy w Korei zachodniej, jak nasiał. Nietylko każda wieś, ale każdy ród, często każda

---

dobieństwo nędzarza, błagającego o jałmużnę.

— Maluj, Nino. Nie będę ci przeszkadzał — mówił, siadając obok, na niziutkiej kanapce. Ninetka uśmiechnęła się nieśmiało i przez chwilę jeszcze wodziła pędzlem, nakładając inne farby, niż te, jakie były potrzebne. Rzuciła wreszcie pędzel i rzekła:

— Zmęczyłam się. Podoba ci się to?

— Tak, to ładne. Ty i grasz ładnie.

Ninetce sprawiła przykrość ta zimna pochwała. Przechyliła krytycznie na bok głowę, obejrzała swoją kopię, westchnęła i rzekła:

— Jaki biedny ten żebrak. Tak mi go żal. Czy i tobie.

— Tak i mnie.

— Jestem członkinią dwóch towarzystw, opiekujących się biednymi.

— Strasznie dużo pracy — rzekła gorąco.

— Cóż to wy tam robicie? — spytał obojętnie Mikołaj.

Ninetka jęła opowiadać z początku szczegółowo, później krócej, a wreszcie urwała. Mikołaj milczał i przeglądał album, do którego znajomi Ninetki wpisywali wier-

— Chciałam na kursa wstąpić, ale ojczulek nie pozwala, - rzekła nagle Ninetka, szukając jakby sposobu zwrócenia uwagi brata.

— Myśl dobra. No i cóż?

— Ojczulek się nie zgadza. Nie dopnę celu.

Mikołaj odszedł, a Ninetka poczuła w piersiach pustkę i żal. Odrzuciła album, spojrzała ze smutkiem na zaczęty obraz, który wydał się jej wstrętnym, niepotrzebnym bohomazem. Nie mogąc zapanować nad sobą, chwyciła pędzel i na krzyż przekreśliła płótno, niebieską farbą, odrywając przytem żebrakowi pół głowy.

Od pierwszej chwili, gdy Mikołaj podał jej rękę, pokochała go, ale on ani razu jej nie pocałował. A gdyby ją był ucałował, otworzyłaby mu swe serce, niewielkie, ale już zbolałe, w którem chwilami śpiewały małe, wesołe ptaszęta, a chwilami krakały czarne kruki, jak pisała w swoim dzienniku. I pokazałaby mu swój dziennik, gdzie na każdej stronicy było powiedziane, jaka to ona nikomu niepotrzebna i nieszczęśliwa.

On myślał może, że jej wystarczają te rysunki, muzyka, opiekuństwo, lecz mylił się: jej niepotrzebne ani jedno, ani drugie, ani trzecie.

Mikołaj śmiał się tylko na lekcyach studenta z Piotrkiem, który go nienawidził za ten śmiech. To też w jego obecności umyślnie jeszcze wyżej zadzierał kolana, prawie przewracając się wtył z krzesłem, mrużył pogardliwie oczy, dłubał w nosie, chociaż doskonale wiedział, że tego robić nie należy, i z zimną krwią w krnąbny sposób mówił do studenta. Dziobata twarz korepetytora nabiegała krwią i potniała; mało nie płakał i po odejściu Piotrka skarżył się, że chłopak wcale nie chce się uczyć.

— Nie wiem, co z niego wyrośnie, — mówił student. - Teraz oto znowu pokojówka mi się żaliła, że jej głupstw nagadał.

— Wyrośnie ulicznik — bez widocznego strapienia określił przyszłość brata Mikołaj.

— Męczę się, męczę, targam nerwy, i co za skutek — prawie płacząc, mówił student, przypominając sobie ustawiczne poniżenia i taki wstyd przed samym sobą, że niekiedy chciałby zapaść się pod ziemię, lub zbić ucznia

— Więc rzućcie to!

— A toż żreć trzeba! — krzyknął w rozpaczy Aleksy Jegorowicz.

— No to żryjcie, co dadzą.

rodzina ma własny cmentarz. Co prawda większość ich leży daleko w górach i jedynie bogatsi grzebią swych nieboszczyków tak, jak Chińczycy: wśród pól uprawnych, według wskazówek „pań-su." wznoszą wysokie kopce mogilne, półkoliste okopy i nagrobki. Wieśniacy nie mają na to czasu i pieniędzy. I oni jednak starają się o przyzwoite zachowanie cmentarzy, gdyż „powodzenie żyjących zależy bardzo od przychylności umarłych"; przychylność zaś umarłych zdobywa się przyzwoitym pogrzebem i pieczą o ich mogiłach.

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sprawozdanie z Kolonij Letnich i czystość ciała.

Niedawno *Kur. Warsz.* (nr. 184) pomieścił dwa sprawozdania z letnisk płatnych dla dzieci: jedno z kolonii dla chłopców w Wilhelmówce, drugie dla dziewcząt w Cieślach. Sprawozdania te są nad wyraz ciekawe i dają miarę braków w naszem wychowaniu domowem.

W raporcie z Cieśli czytamy; „Dzieci są wyjątkowo dobrze dobrane.... są przyzwyczajone do porządku, a panie dozorczynie jak największą zwracają uwagę na czystość ciała dziewcząt. Niektóre dziewczynki mają z domu odzież za wykwintną, na wieś niestosowną. Stąd większy kłopot z praniem; a pomimo pięknych tualet, na główkach trafia się... nieporządek. Stąd przykrości i utrudzenie dla dozorczyń... Z powodu chłodnych dni dzieci dotychczas raz jeden kąpać się mogły" (a wyjechały d. 25 czerwca).

W raporcie z Wilhelmówki oprócz zwykłego opisu, jak chłopcy czas przepędzają, znajdujemy:

„Od dni dziesięciu bawią chłopcy w liczbie 90 w kolonii letniej, w Wilhelmówce... Do porządku kolonialnego chłopcy już przywykli, chociaż ścisłe zastosowanie się do niego robi im dotąd jeszcze różnicę. Niechętnie np. wstają o godzinie 6-ej, nie chcą się myć do pasa, niechętnie sobie ścielą łóżka, niechętnie wynoszą na noc obuwie z sypialni, niezupełnie przyzwoicie zachowują się przy stole, nie pilnują się godzin oznaczonych i zdradzają wiele innych wad, które świadczą, że kierunek wychowania, nadany przez rodziców, w przeważającej liczbie należących do sfer inteligentnych, nie jest prawidłowy, a w wielu razach pozostawia bardzo wiele do życzenia."

„Z nawyknień chłopców widać, że w prowadzeniu dzieci rodzice kierują się raczej sercem, niż rozumem, to też trudno tu pośród dziatwy spotkać materyał na jednostkę samodzielną, o zaczątkach pewności indywidualnej, a raczej większość stanowią jednostki niezdecydowane, apatyczne, wypieszczone laleczki (nb. chłopcy lat skończonych 8 do 13!), które obecnie, pomimo swej nieprodukcyjności mają już liczne, wygórowane wymagania..."

„Do mleka chłopcy już się przyzwyczaili i nawet ci, którzy kierowani uprzedzeniem, gwałtownie chcieli nas przekonać, że nie znoszą mleka, teraz piją je chętnie. Kasza, kluski i inne pokarmy mączne nie mają wśród dzieci powodzenia. Za to chleb ma powodzenie nadzwyczajne, widocznie dzieci przywykły do objadania się w domu chlebem nad miarę.

W kąpieli byliśmy dotąd raz tylko, bo chłody niestety nie pozwoliły zapewnić dziatwie tej wielkiej a pożytecznej rozkoszy."

Ciężką musi być praca dozorców z tym różnorodnym żywiołem, zgromadzonym tylko chwilowo. O zasadniczem wykorzenieniu złych nałogów nie może być nawet mowy. Jedna jednak strona pobytu powinna być stanowczo przeprowadzona z całym rygorem: zastosowanie wszystkich przepisów hygieny, zwiększających pożytek pobytu na świeżem powietrzu. W pierszym rzędzie obok dobrego odżywiania jest czystość ciała. Zarząd Kolonij letnich powinien sobie postawić w tym kierunku nie jakieś *minimum*, wchodzące w kompromisy z niedbalstwem lub zacofaniem rodziców, lecz plan racyonalnie obmyślany, szkoda, że zaledwie na kilka tygodni, ale i z tą niewątpliwie korzyścią, że niejedno z rodziców i dzieci dowie się o potrzebie utrzymywania *całego* ciała w czystości i może się do tego zwyczaju zachęci.

Zarząd Kolonij to nie osoba prywatna, biorąca dla zarobku kilku chłopaczków na stancyę, to instytucya społeczna, która z góry stawiać może swe warunki.

Jeśli więc u niektórych dziewczynek (a zapewne i u chłopców) spotykamy „nieporządek na główkach," to zarząd winien zastrzedz sobie prawo, w razie stwierdzonego nieporządku, kazać głowę krótko ostrzydz.

Gwałt! nadużycie władzy! oszpecenie! Spazmy matek!

A no — trudno! Z punktu widzenia porządku i hygieny piękniejsze są włosy krótkie i czyste, niż długie „z przychówkiem." Zresztą włosy odrosną!

Sądzimy, że ten warunek raz i drugi w praktyce zastosowany, uwolniłby dozorczynie od niezbyt miłych „poszukiwań," a dzieci i rodziców przyzwyczaił do większej staranności. Dziecko od lat 8 do 13 powinno już umieć dbać o czystość głowy. Spróbujmy postraszyć te nieporządnice, że im głowę ostrzyżemy, a przekonamy się, jak mają gruntownie wpojone przekonanie o wartości włosów *długich*. Może więc zaczną dbać o czystość.

Ze sprawozdania z Wilhelmówki podkreślamy: „chłopcy nie chcą się myć do pasa," „w kąpieli byliśmy dotąd raz tylko!" Szczytem więc dążeń jest wywalczenie, żeby się myli „do pasa." Prawdziwie połowiczne zwycięztwo!

A co się dzieje, panowie dozorcy, z tą resztą... „od pasa?" O niej sprawozdanie nie wspomina, domyślamy się tylko, że ta część lekceważona musiała się spotkać z wodą raz w czasie kąpieli, która według raportu — jest „wielką a pożyteczną rozkoszą." Mniejsza o rozkosz, bo ta nie może być wielką dla istot, które uważają, że w końcu czerwca woda raz tylko w ciągu dni dziesięciu nie była zbyt zimną! Nam chodzi o czystość, a więc nie o rozkosz, ale o konieczność hygieniczną, zaspakajaną *codziennie*.

Ciało niewątpliwie codzień pokrywa się warstwą kurzu i potu, który ogranicza szkodliwie funkcye fizyologiczne skóry. Ciało chłopca, biegającego cały dzień po dworze, stanowczo więcej się brudzi „od pasa," niż „do pasa"; ciało dziewczynki z powodu ubrania tembardziej.

Jakże więc sobie radzą na koloniach z tym „pasem," z tym Rubikonem przyzwoitości i „moralności"?

Zdaje się, że wcale sobie nie radzą. Mówią chłopcu: „musisz się umyć do pasa"; chłopiec uważa to za czyn prawie bohaterski, a opryskawszy tors odrobiną wody, sądzi, że to już szczyt czystości. Dziewczętom zdaje się nic nie mówią, a przynajmniej skromne sprawozdanie nie podaje

---

W żadne jednak spory ze studentem, mimo jego usiłowań, Mikołaj się nie wdawał. I Ninetka i Aleksy Jegorycz próbowali nieraz rozstrzygnąć, kim był właściwie brat Mikołaj, dochodzili do takich fantastycznych wniosków, że one rozśmieszały ich samych. Ale gdy się rozchodzili dziwili się swemu śmiechowi, najbardziej fantastyczne przypuszczenia wydawały im się blizkiemi prawdy i z dziwną ciekawością i strachem czekali nazajutrz chwili, gdy przyjdzie Mikołaj, przekonani, że teraz właśnie dręczące pytanie da się rozwiązać. Mikołaj przychodził, a zagadka pozostawała zagadką.

Szczególnie zaś jaskrawe i nieprawdopodne przypuszczenia snuto w czeladnej. Tu na czoło opowiadających wysuwał się Fenogen Iwanycz. Gdy sobie podpił nieco, wyobraźnia jego pracowała niepowstrzymanie i tworzyła obrazy, które w nim samym, budziły lęk i wprawiały w osłupienie.

To zbój! — rzekł raz Fenogen Iwanycz a jego czerwona twarz, aż pobladła ze strachu.

— Ale, zbój — nie wierzył kucharz, choć się też obejrzał na drzwi.

— Ograbiający tylko bogaczów — uzupełnił myśl Fenogen Iwanycz, który słyszał niegdyś od Mikołuja, jeszcze małego chłopca, o istnieniu takich rozbójników.

— A po co by miał grabić, kiedy ojciec ma pieniędzy wbród? — wyrażał swoje wątpliwości stangret, bardzo rozważny człowiek.

Trzy fabryki, cztery domy, akcye codzień obcina, — wyszeptała Anna Iwanowna, która teraz posiadała w kasie 560 rubli, bo cztery niedawno była wniosła.

Przypuszczenie Fenogena Iwanycza upadło. Anna Iwanowna przeszukało wszystkie rzeczy Mikołaja i nic, prócz bielizny, nie znalazła. A właśnie to, że niczego, prócz bielizny, nie znalazła przerażało wszystkich najwięcej. Gdyby w walizie wykryli strzelby, kule i noże, gdyby stwierdzono, że Mikołaj doprawdy był zbójca, wydawałoby się to mniej strasznem, niż ta zupełna niewiadomość o zajęciach człowieka, tak niepodobnego do innych z twarzy i z postępowania, który słuchał, sam nic nie mówiąc i patrzył na wszystkich, jak kat. Trwoga rosła i przechodziła w strach zabobonny, co jak fala lodowata przepływał nad domem.

Podsłuchano krótką rozmowę Mikołaja z ojcem, ale to nie rozproszyło strachu, lecz bardziej jeszcze zgęściło atmosferę osłupienia i tajemnicy.

— Powiedziałeś niegdyś, że nienawidzisz całego naszego życia — dobitnie, wymawiając każde słowo, pytał ojciec.

— Czy i teraz je nienawidzisz?

Równie dobitnie i wolno zadźwięczał głos Mikołaja, odpowiadającego poważnie.

— Tak, nienawidzę je i teraz od dołu do góry. Nienawidzę i nierozumiem.

— Czyś znalazł coś lepszego?

— Tak, znalazłem. Znalazłem — twardo powtórzył Mikołaj.

— Zostań z nami.

— To niemożliwe, ojcze. Wiesz o tem.

— Mikołaju! — rozległ się gniewny wykrzyk Aleksandra Antonowicza. A po chwili naprężonego oczekiwania cicha, i nieco smutna odpowiedź Mikołaja:

— Tyś ciągle ten sam, ojcze. Porywczy i dobry.

(C. d. n.)

Przeł. *Bruno Winawer.*

szczegółów, ograniczając się tylko do utyskiwania nad koniecznością polowań na niektórych główkach.

I to też pożyteczne, ale mycia całego ciała nie zastępuje.

Więc jakaż na to rada praktyczna?

Na taniej kolonii letniej niema ani wanien, ani urządzeń hydropatycznych, kąpiel rzeczna niezawsze jest możliwa. Słota, wiatry, chłód, brak odpowiedniej rozbieralni na brzegu nie miałyby wielkiego znaczenia dla dzieci stale do tego przyzwyczajonych, dla przygodnie zebranej gromadki o różnych zasobach zdrowia i odporności stanowi utrudnienie w regularnem używaniu kąpieli. Przytem niewszędzie jest woda blizko i niewszędzie jest dobra i zdrowa do kąpieli.

Jedynym zatem praktycznym sposobem zapewnienia czystości bez obawy nadużycia i narażenia zdrowia dzieci słabszych jest codzienne mycie się od stóp do głów, głównie wieczorem, przed pójściem do łóżka. Nie potrzeba do tego żadnych specyalnych urządzeń. Miska z wodą, mydło, stołek i ręcznik — oto wszystkie niezbędne przybory. Po zrzuceniu koszuli (nie do pasa, lecz zupełnie) dziecko powinno tego dokonać własnemi rękami, naprzód twarz, szyja, piersi, plecy, następnie, postawiwszy miskę na ziemi, kolejno obie nogi. Po takiem gruntownem wyszorowaniu zabrudzonego ciała i wytarciu do sucha ręcznikiem wieczorem — na czem i pościel coś zyska — rano należy powtórzyć to samo, zawsze używając wody o temperaturze pokojowej. W dni upalne po powrocie z dłuższej wycieczki lub zabawy nic tak nie orzeźwia, jak obmycie całego ciała. Zastępuje ono wybornie tak powszechne a niedobre po zgrzaniu picie zimnej wody, zimnego mleka itp.

Ważnemi zaletami tego systemu są: systematyczność i codzienność bez względu na pogodę i porę roku (bo i w zimie należy go utrzymać); stałość warunków wykonywania, tj. pod dachem i wodą o temperaturze otoczenia; możność stosowania i wieczorem, a więc kiedy kąpiel w rzece jest prawie niedostępną; hartuje ciało, zmniejsza jego wrażliwość na zaziębienia, katary itp.; zabiera niezmiernie mało czasu, bo zaledwie kilka minut.

Ale może kto nam zarzuci, że chcemy krzewić bezwstyd?

Tak! „do pasa“ to jeszcze... ale myć się zupełnie bez koszuli wobec innych dzieci!..

A no, zapewne, że to jest rada skandaliczne.

Wprawdzie raz na kilkanaście dni mogą one pójść wszystkie do kąpieli w rzece, niezabezpieczone niczem od oczu przygodnych przechodniów, ale w zamkniętem mieszkaniu obmywać się nie mogą.

W każdym razie polecilibyśmy uwadze szan. zarządu, aby dzieci nauczyły się utrzymywać w czystości *całe* ciało. Wówczas dopiero pójście do kąpieli do rzeki możnaby uważać za „wielką i pożyteczną rozkosz,“ która w dni ciepłe i pogodne zastępowałaby zwykłe, obowiązkowe obmywanie w mieszkaniu.

Kropka.

LISTY GALICYJSKIE.

Kółka rolnicze. — Nadużycia Cyfrowicza. — Zjazd Ligi pomocy przemysłowej.

Sprawozdanie zarządu Towarzystwa kółek rolniczych, przedstawione dorocznemu zjazdowi ogólnej rady tego stowarzyszenia, który się odbył w tych dniach w Przemyślu, świadczy o ponownem, ale ciągłem wzmaganiu się ekonomicznem średniej własności chłopskiej w Galicyi. Działalność Towarzystwa kółek rolniczych znajduje szerokie uznanie w tych sferach, czego najlepiej dowodzi fakt, że w roku ubiegłym powstało 96 nowych kółek, przyczem w niektórych okolicach po kilka, a w jednej, mianowicie lwowskim, dziesięć. Ogólna liczba kółek rolniczych w Galicyi dawno już przekroczyła tysiąc, lecz bilans przeszłorocznej działalności osnuty jest na sprawozdaniu 972 z 72 powiatów, gdyż reszta nie nadesłała ich na czas. Wszystkie liczą obecnie razem 44,188 członków. Zebrań odbyto w roku ubiegłym około 17,000, co dowodzi znacznego ruchu, panującego w Towarzystwie.

Kółka rolnicze, jak dotychczas, posiadały głównie charakter handlowy, liczba sklepów Towarzystwa stale wzrasta. W roku ubiegłym sklepów, prowadzonych na własny rachunek, posiadały one 459, oddanych w dzierżawę — 278. Ich działalność handlowa coraz szybciej zagarnia przedsiebiorstwa wyszynkowe. Liczba kółek, prowadzących wyszynk wina, wzrosła z 366 do 379, ilość wyszynków napojów słodzonych ze 154 do 193, dzierżawionych zaś propinacyj — z 38 na 39. Że kółka rolnicze bardzo wpływają na postęp gospodarczy ich członków, tego dowodzi zwiększanie się ustawiczne ilości sprowadzanych przez kółka rolnicze nawozów, drzew owocowych, oraz maszyn i narzędzi rolniczych:

	w r. 1892:	w r. 1903:
Drzew owocowych za . .	2,512 kor.	3,236 k.
Maszyn i narzędzi roln. za	50,666 kor.	63,915 k.
Nasion za	97,316 kor.	140,403 k.

Drenowanie urządzono na 1,293 morgach gospodarstw, należących do członków Towarzystwa.

Jak wiadomo, po za czysto ekonomiczną działalnością Towarzystwo uprawia i pracę oświatową, zakładając biblioteczki i czytelnie pism. Oczywiście, działalność jego na tem polu posiada charakter przeważnie konserwatywny i dobór materyału jest niewątpliwie tendencyjny. Abstynencyę od polityki kółka rolnicze rozumieją jako powstrzymywanie się od prenumerowania pism bardziej postępowych, a sprowadzanie natomiast wszelakich świstków konserwatywnych i narodowo-demokratycznych o tendencyi klerykalnej. Ma się rozumieć, w bibliotekach kółek obok tendencyjnego śmiecia jest dużo rzeczy wartościowych, ponieważ sam rozwój czytelnictwa wśród chłopów rozbija ten mur sztuczny, jakim chciano odgrodzić włościaństwo od lektury normalnej. W roku ubiegłym liczba dzieł w bibliotekach kółek wzrosła z 63,043 do 65,552. Jest to postęp w porównaniu z innymi działami prac Towarzystwa, świadczący o zmianie na lepsze. Wobec podnoszenia się kulturalnego masy chłopskiej czytelnictwo ogromnie wzrasta; na spotkanie tej dążności idą różne, specyalne oświatowe organizacye, wskutek czego rola kółek rolniczych w tej dziedzinie spada niemal do zera.

Zarząd główny Towarzystwa dopomagał kółkom do czynienia doświadczeń z różnemi odmianami zbóż, jak i nawozów na łąkach i pastwiskach. Wprowadzono też po gospodarstwach włościańskich uprawę mniej znanych lub nieznanych roślin. Starano się o ulepszenie obornika, o podniesienie hodowli kóz, drobiu i królików, o rozpowszechnienie siewników rzędowych na małej własności itd. Zarząd główny rozciągnął opiekę i kontrolę nad przedsiebiorstwami handlowemi kółek rolniczych i czuwał nad odpowiedniem zużytkowaniem pochodzącego z nich dorobku. W r. 1903 było czynnych trzech lustratorów handlowych, którzy przeprowadzili w ciągu roku lustracye 570 kółek rolniczych, a nadto celem dostarczenia sklepom Towarzystwa wykwalifikowanych sklepikarzy, odbywały się w Czernichowie kursa handlowe. Kursa te dostarczyły w r. 1903 23 sklepikarzy.

Rzecz ciekawa, że w kółkach rolniczych włościanie usamodzielniają się coraz bardziej. Dawniej przewodniczącymi najczęściej byli księża, sekretarzami zaś nauczyciele ludowi. W roku ubiegłym liczba przewodniczących-włościan przekroczyła już połowę — było ich 53,3%. Wśród zastępców stanowili 74,4%, a pomiędzy sekretarzami 63,9%. Kółka rolnicze nie stały się tem, czem je chciano zrobić przy zakładaniu — sposobem zupełnego wykorzenienia nędzy chłopskiej, jakimś środkiem cudownym na wszystkie dolegliwości życia wsi. Dziś już najbardziej optymistycznie zapatrujący się na ich rolę rozumieją, że kółka z natury rzeczy mogą skupić tylko stosunkowo nieznaczną część chłopów — i to bardziej zamożnych, a więc wszystko, co gnębi milionowe rzesze reszty włościaństwa, nie może być z ich pomocą usunięte.

Z pomiędzy dotychczasowych złodziejstw kasowych, tak często zdarzających się w Galicyi, bodaj czy nie największe wrażenie (po nadużyciach w lwowskiej Kasie oszczędności, naturalnie) wywołało świeżo odkryte w różnych kasach uniwersytetu Jagiellońskiego. Nadużycia te popełniał w ciągu całego szeregu lat sekretarz uniwersytetu, profesor Cyfrowicz, członek rady miejskiej, jeden z redaktorów *Czasu* i poważny filar stronnictwa stańczykowskiego. Cieszący się wielkiem poważaniem w kole swych przyjaciół politycznych, p. Cyfrowicz, jako profesor, był jednem z tych zer naukowych, które się w Krakowie rozpierają na katedrach uniwersyteckich bez żadnych po temu kwalifikacyj — jedynie dzięki protekcyi kliki stańczykowskiej. Prof. Cyfrowicz kradł, co się dało. A ponieważ nikt go jako „swojego“ nie kontrolował poważnie, przeto wszystkie fundusze, powierzone jego pieczy, zostały poważnie naruszone. Nie oszczędził nawet grosza stypendyalnego, nie ceremoniował się z czesnem kolegów-profesorów i opłatami rządowemi.

Kwotę 46,012 koron, przywłaszczoną przez prof. Cyfrowicza, a stanowiącą tylko część zabranych przez niego sum, pokryli profesorowie i docenci uniwersytetu bez udziału jakiejkolwiek osoby z po za tego grona. Resztę ma pokryć rząd. Nadużycia wykryto przy rewizyi kasy, przedsięwziętej po nagłej śmierci prof. Cyfrowicza. Ta rewizya, jako niespodziewana, odrazu mogła stwierdzić w kasie brak funduszów, gdy poprzednio prof. Cyfrowicz zawsze umiał w porę lukę wypełnić, ponieważ wiedział dobrze o terminie rewizyi. Zresztą wszystkie te rewizye, przedsiebrane przez „swoich,“ były czczą formalnością tylko, i profesor mógł je traktować bardzo lekko. Tak więc lekkomyślność w pełnieniu obowiązków znowu odbiła się boleśnie na stanie grosza publicznego — tak samo, jak to było w głośnej sprawie nadużyć w Kasie oszczędności. Tylko że ten wypadek z Cyfrowiczem nie może być porównywany pod żadnym względem z tamtym, gdyż C. kradł pieniądze i trwonił je na karty i hulanki. Prasa antistańczykowska wypomina obecnie różnym Katonom kliki, w rodzaju St. Tarnowskiego, ich wstrętne, partyjne stanowisko wobec Kasy oszczędności. Dziś „przyszła kryska na Matyska“ — i Katonowie konserwatywni muszą milczeć.

We Lwowie odbył się zjazd Ligi pomocy przemysłowej, której działalność przedstawia się w następujący sposób. Zorganizowano towarzystw „Pomocy przemysłowej“ 37, komitetów organizacyjnych 27, tak iż z towarzystwami „O własnych siłach“ w Krakowie i Gorlicach organizacya „Obrony przemysłu“ liczy 66 kół z 4,200 członkami. Towarzystwo urządziło już 10 wystaw poglądowych przemysłu krajowego oraz większą wystawę w Przemyślu i „jarmark“ we Lwowie. Niektóre towa-

rzystwa, należące do „Ligi pomocy przemysłowej,“ posiadają po 800—500 osób. Podzieliły się one na sekcye agitacyjne, dostawowe, odczytowe, sekcye dla przemysłu miejscowego i wystawowe. Większa część sekcyj agitacyjnych przeprowadziła kilkakrotną kontrolę sklepów, zorganizowano kilkanaście gałęzi drobnego przemysłu, a biuro reklamy Ligi urządziło 85 wieców przemysłowych, 14 odczytów, wydało tymczasowy katalog przemysłu krajowego w 5,000 egz. i przygotowało materyały do obszernego skorowidza przemysłu i handlu krajowego, który ma być wydany w 30 tys. egz. Dla przeciwdziałania oszukańczej konkurencyi fabryk zagranicznych, nasyłających Galicyi swoje wyroby pod sfałszowaną marką wyrobów wrzekomo krajowych, „Liga“ wprowadziła ogólną markę wyrobów krajowych. Należy jeszcze podnieść jej akcyę w sprawie cukru krajowego, w sprawie rozszerzenia zbytu węgla, w sprawie obrony mydlarstwa, wyrobu zapałek, przemysłu księgarskiego, drzewnego, papierowego itd.

Sam zjazd był charakterystyczny z tego względu, że brakowało na nim zupełnie prawie przemysłowców-wytwórców. Zebrali się tylko spożywcy, wysłuchali paru mówek, wzięli udział w paru pochodach i bankietach i rozjechali się po przyjęciu rezolucyj zdawkowych.

Daleki.

Listy z Francyi.

Uroczystości czerwcowe. — Ofiara Rotszyldów. — Wzorowy dom mieszkalny dla robotników. — Obchód rocznicy obowiązkowego bezpłatnego nauczania w

Miesiąc czerwiec w Paryżu obfituje zazwyczaj w różne konkursa, obchody i uroczystości. W roku bieżącym prócz dorocznego jarmarku na obrazy czyli t. zw. Salonów, prócz karkołomnych wyścigów koni, piechurów, cyklistów, samochodów, prócz przeróżnych, bucznych obchodów i konkursów towarzystw gimnastycznych i strzelniczych, mieliśmy jeszcze słynny wyścig pieszy „Marche de l'armée,“ który przyprawił o śmierć jednego żołnierza, a dziesiątki — o mniej lub więcej ciężką chorobę. Wszystkie te uroczystości w gruncie rzeczy nie przynoszą najmniejszej korzyści ani umysłowej, ani moralnej, ani fizycznej; są to tylko widowiska obrachowane na zadowolenie grubych instynktów gawiedzi, znudzonej arystokracyi i burżuazyi; z drugiej strony w chodzą tu w grę interesa handlarzy, fabrykantów, hodowców koni, ubiegających się o reklamę, mniej lub więcej zręcznie ukrytą pod płaszczykiem patryotyzmu.

W niełatwy do naśladowania pod tym względem sposób postąpili sobie w tych dniach Rotszyldowie, ofiarując na ręce ministra handlu aż 10 milionów franków na pobudowanie tanich i zdrowych mieszkań dla robotników. Cel niewątpliwie pożyteczny, gdyż w samym Paryżu 44,000 rodzin złożonych z 3 do 10 osób mieści się w jednym pokoju, a 23,000 — w dwóch pokojach, pozbawionych wszelkich warunków hygienicznych, nie licząc w to wielkiej rzeszy nędzarzy, niemających wcale dachu nad głową... Widocznie Rotszyldowie, mają nadzieję, że hojna ofiara na rzecz pracującej ludności zagoi jątrzące się coraz więcej rany, uspokoi wzburzone umysły w giełdach pracy i syndykatach, zażegna zatargi i zmowy, wybuchające codziennie w różnych zakątkach Francyi.

Spodziewać się można, że choć część tej sumy dostanie się do rozporządzenia towarzystwa „Société des logements hygieniques à bon marché,“ którego działalności pierwszy rezultat był wczoraj uroczyście obchodzony. Towarzystwo to zawiązane przed paru laty z inicyatywy Anatola France, Fourniere'a, Frantz Jourdain'a oraz pań Sevérine i Weill, nie ma nic wspólnego z istniejącem już oddawna „Société des habitations à bon marché,“ które nosi charakter filantropii mieszczańskiej. Pierwsza kamienica wybudowana przy ul. Tretaigne w dzielnicy Montmartre zawiera 30 mieszkań, zaopatrzonych we wszelkie wygody i odpowiadających nowoczesnym wymaganiom hygieny. Za cenę 340 lub 380 fr. rocznie można tam mieć mieszkanie, złożone z 2 lub 3 pokoi z kuchnią. Zamiast dachu jest taras, z którego roztacza się rozległy widok na okolice Paryża i gdzie lokatorzy mogą odetchnąć świeżem powietrzem. Na parterze mieści się obszerny lokal uniwersytetu ludowego „Education sociale,“ kooporatywa spożywcza, a wkrótce otwartą będzie tania restauracya. W swem przemówieniu Fr. Jourdain zaznaczył jakim duchem ożywieni byli inicyatorzy:

„Słowa *miłosierdzie i litość* nie są już z naszej epoki, uważamy, iż trzeba dać pracującemu ludowi to, co mu się należy. Nie stworzyliśmy przeto instytucyi filantropijnej, ale dzieło solidarności ludzkiej, w którem robotnik znajdzie schronienie i pożywienie na jak najdogodniejszych warunkach, a obok tego czynniki kultury umysłowej i życia moralnego. Ten dom wzniesiony w pobliżu bazyliki Sacré-Coeur jest jakby przeciwstawieniem pochodni i gaśnika.“

Szczerze demokratyczną była uroczystość w dniu 19 czerwca, w rocznicę złożenia w Izbie deputowanych w r. 1872 pierwszej olbrzymiej petycyi o zaprowadzenie bezpłatnej, obowiązkowej i świeckiej nauki szkolnej. Myśl tego obchodu podniosła i urządzeniem jego zajęła się znana „Ligue française de l'enseignement“, stojąca na czele całego szeregu świeckich towarzystw oświaty ludowej, których w samym Paryżu jest co najmniej pietnaście.

Liga ta założoną została jeszcze w roku 1866 przez słynnego popularyzatora wiedzy, skromnego J. Mace, który całe swe życie poświęcił krzewieniu oświaty i budzeniu zamiłowania do niej. W końcu pierwszego roku swego istnienia liga liczyła około 5,000 członków, a w niedługim czasie ogarnęła całą Francyę pomimo przeszkód stawianych przez konserwatystów i duchowieństwo. Dziś należy do niej 3,300 towarzystw, cieszących się zupełną autonomią, a z pośród nich najruchliwsze jest „Cercle parisien,“ którego dochód roczny dochodzi do 140,000 fr., a działalność nie ogranicza się bynajmniej na stolicy, lecz sięga i głębszej prowincyi. Rozporządzając ogromnymi funduszami (dotychczas wydała ogółem przeszło 3 i pół miliona fr.) mając w swem gronie ludzi tak wpływowych, jak byli ministrowie Bourgeois, Berthelot, Siegfried, a na czele słynnego pedagoga, deputowanego Buissona, liga oddaje wciąż wielkie usługi. Dzięki jej pomocy powstają nowe świeckie szkoły, biblioteki, rozdaje się dziatwie szkolnej mnóstwo książek i przyborów szkolnych, organizują się kursa dla dorosłych, odczyty z niknącymi obrazami — ostatniej zimy np. wysłano 42,157 klisz do 304 miejscowości dla urządzenia 14,000 odczytów.

Już w r. 1870 „Ligue de l'Enseignement,“ a właściwie kółko jej strasburskie, wzięło się do poruszenia ogółu we Francyi dla wywalczenia prawa obowiązkowej, bezpłatnej, świeckiej nauki szkolnej i w przeciągu kilku miesięcy pozyskało 350,000 podpisow. Po wojnie francusko-niemieckiej sprawę tę podjęło Koło paryskie i brało od każdego podpisującego się na petycyi jednego sou (5 centimów); z tej przyczyny ruch ten znany jest pod nazwą „Mouvement national du sou contre l'ignorance.“ Chociaż klerykali i reakcyoniści zaczęli natychmiast organizować kontrpetycyę „Petition des evêques,“ a na czele jej stanął biskup Dupanloup, prezes komisyi oświaty w Izbie, chociaż grożono nauczycielom dymisyą za należenie do Ligi oświaty, to jednak w 1872 r. zebrano już 1,267,297 autentycznych podpisów, w tej liczbie 118,819 kobiet.

Dnia 19 czerwca J. Macé i jego nieodstępny towarzysz Em. Vauchez, założyciel i prezes koła paryskiego, wręczyli tę pamiętną w dziejach petycyę parlamentowi w Wersalu. Lista jej tworzyła aż 115 ogromnych pakietów, które ważyły 200 kilogramów i zawiezione były na wozie. Reakcyjna Izba ówczesna złożyła ją do archiwum i powierzyła jej przejrzenie zaciętemu wrogowi postępu, biskupowi Dupanloup. Niemniej w oczach całego narodu miała ona olbrzymie znaczenie i wywarła ogromny wpływ. Wkrótce pod naciskiem opinii publicznej musiała Izba zająć się energicznie sprawą oświaty ludowej. W r. 1875 podwyższa pensyę nauczycielom i nauczycielkom szkół elementarnych; w roku 1879 uchwala założenie w każdym departamencie szkoły normalnej dla przygotowania odpowiedniej ilości nauczycieli ludowych, w r. 1881 wydaje prawo o bezpłatnej nauce w szkołach niższych, w 1882 ustanawia obowiązkowe i świeckie nauczanie elementarne, w 1883 decyduje o konieczności budowania szkół elementarnych we wszystkich gminach i wioskach, w r. 1893 podwyższa znowu płacę nauczycielom itd.

Owa milionowa petycya z r. 1872 o obowiązkowem, bezpłatnem nauczaniu, stanowi jeden z najpiękniejszych momentów w historyi rozwoju Francyi i służy za najlepszy dowód, jak wiele zrobić może inicyatywa prywatna. Chwila ta więc zasługuje bezwarunkowo na przypomnienie i upamiętnienie, zwłaszcza teraz, kiedy wszystkie żywioły wsteczne usilują przeszkodzić zniesieniu szkół kongregacyjnych, kiedy w parlamencie toczą się rozprawy nad zabezpieczeniem bytu nauczycieli świeckich. Zresztą czyż nie czas wielki, aby w wolnomyślnej Francyi dniem odpoczynku i rozrywki był nie obchód podania, święcenie przeżytych symbolów, lecz rocznica zdobycia światła lub zmniejszenia nieszczęść cierpiącej ludzkości...

Dawno już nie mieliśmy tak demokratycznej uroczystości, jak w dniu 19 czerwca, przykrem było to jedynie, że do uświetnienia jej przyczynił się dziennik *Matin*, polujący na wszelkie okazye wykrzesania dla siebie reklamy. Urządzeniem właściwego obchodu rocznicy 19 czerwca zajmowała się liga wespół z należącemi do niej towarzystwami; ta część miała nader podniosły charakter. O godz. 9 rano w wielkiej sali Trocadero zebrało się 5,000 osób, nie brakło też prezydenta Loubeta w otoczeniu ministrów, prezesów Izby i Senatu. Pierwszy zabrał głos prezes Ligi, Buisson, w gorących słowach podnosząc konieczność wspólnej pracy dla ideałów demokratycznych; następnie przemawiał minister oświaty Chaumié, poczem odczytano listę nauczycieli, obdarzonych z okazyi tej uroczystości orderem Legii honorowej lub złotym medalem zasługi. Wreszcie na część koncertową złożyło się odśpiewanie przez chór, z kilkuset osób złożony, pieśni umyślnie na ten obchód skomponowanej i wypowiedzenie poezyj poświęconych sprawie oświaty ludowej. O godz. 12 słuchacze opuścili salę, a połączywszy się z osobami, czekającemi w parku Trocadero, utworzyli 10-tysięczny pochód, który z muzyką na czele, przy salwach armatnich, wyruszył w wielkim porządku do Galerie des Machines na zastawione tamże skromne śniadanie. Od czasu słynnego bankietu merów Francyi nie było uczty tak olbrzymiej. Dokoła 208 stołów zasiadło 10,000 osób,

rozpromienienie malowało się na wszystkich twarzach.

Po skończonym bankiecie wrota Galeryi Maszyn otworzyły się dla dzieci i rodziców. Około 200,000 osób korzystało w tym dniu bezpłatnie z różnych rozrywek i uciech, urządzonych głównie przez *Matin*, a także przez różne towarzystwa oświaty ludowej. Podwieczorek był przygotowany na 55,000 dzieci, najróżnorodniejsze widowiska dla nich w Galeryi Maszyn, na wieży Eiffla, na Grande Roue, w Etoile-Palace, w Printania, Alhambrze i cyrkach. Prócz tego rozdano darmo 120,000 pism ilustrowanych, 30,000 pocztówek ilustrowanych, mnóstwo zabawek itp. *Matin* ponadto ofiarował 300,000 medali dla ciała nauczycielskiego i najlepszych uczniów celem upamiętnienia obchodu. Nietylko Paryż, ale i prowincya we wszystkich zakątkach, bo aż w 25,000 gmin święciła uroczyście dzień 19 czerwca.

Nie należy jednak stąd wnioskować, że ideały francuskich nauczycieli ludowych nie sięgnęły dalej ponad to, co już zdobyte. W trzy dni po owej uroczystości miało miejsce zebranie w paryskiej giełdzie pracy, złożone przeszło z 1,000 osób, zwołane przez towarzystwo „Union des amis de l'enseignement laïque.“ Wypowiedziano tam wiele gorzkich prawd o stanie obecnym szkolnictwa i położeniu nauczycieli.

„Obchodzono w niedzielę — mówił Dufresne — rocznicę obowiązkowej nauki, a przecież ta obowiązkowość nie jest przestrzeganą, skoro corocznie przybywa nam analfabetów, a komisye szkolne, mające czuwać nad stosowaniem prawa, nie spełniają swego obowiązku. Obchodzono rocznicę bezpłatnej nauki, a przecież szkoły wyższe są niedostępne dla biednych uczniów szkół elementarnych.“

Prócz tego powstawano słusznie na to, że nominacye nauczycieli ludowych zależą od prefektów, a nie od ministeryum, że płaca ich jest wielce niedostateczną — względnie daleko niższą, niż w Szwajcaryi lub w Niemczech. Wprawdzie obecnie, według projektu sprawozdawcy komisyi Izby dep., Simyan'a, budżet na r. 1904 co do nauczycieli ludowych ma być powiększony o 6,628,375 fr., a do 1908 r. ogółem o 23 miliony, ale i tak najwyższa pensya nauczyciela dosięga 2,200 fr., a najniższa 5-ej klasy wynosi tylko 1,500 fr. Nauczyciele są we Francyi najgorzej płatni z pomiędzy wszystkich urzędników państwowych, a największą pracą obarczeni. Izba zajmuje się najmniej ich losem; 23 lat temu obecny minister skarbu, Rouvier, podawał projekt znaczniejszego, niż dziś to czynią, podwyższenia ich pensyi, wprawdzie i on teraz, jako starszy, myśli więcej o przysporzeniu funduszów na armię i flotę. Wkrótce jednak Izba będzie musiała zająć się poważnie losem nauczycieli, choćby dlatego, żeby zachęcić młodzież do obierania sobie tego zawodu, liczba bowiem kandydatów do szkół normalnych w ciągu ostatnich lat 14 spadła z 5,279 na 2,778. Słusznie więc nauczyciele domagają się polepszenia swej doli przez podniesienie płacy i zapewnienie im większej niezależności moralnej, zamiast czerwonych wstążeczek i orderów, jakiemi ich darzą obecnie.

Dr. Józef Zieliński.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

Stary i smutny obraz.

Doroczne sprawozdanie Kasy Mianowskiego przedstawia znany i — powiedzmy szczerze — niezbyt pocieszający obraz, którego zasadniczym rysem jest ogromna różnica pomiędzy sumą wziętych zapomóg i pożyczek a ich rezultatami naukowymi. I w tym roku jest dosyć znaczny procent ludzi, obdarzonych zasiłkami na uprawę niwy, którą nigdy nie zajmowali się i zajmować nie będą. Ażeby nie uledz posądzeniu o stronność, nie wymieniamy nazwisk, lecz stawiamy pytanie przed sumieniem tych, którym przyznano zapomogę na „studya naukowo-literackie“ lub „poszukiwania naukowe“: czy oni ją istotnie zużytkowali w tym celu i czy dokonali jakichś studyów i poszukiwań? A jeżeli nie, czy oni powinni byli brać publiczne pieniądze pod warunkiem, którego spełnić nie myślą? Nikt nie zatrzymuje w pamięci i nie zadaje sobie trudu skontrolowania na podstawie sprawozdań, kto dotrzymał swego zobowiązania wobec Kasy, a kto je złamał; gdyby jednakże kiedykolwiek zrobiono taki obrachunek, zobaczylibyśmy, jaka to gromada „uczonych“ wyśliznęła się ze swego długu bez żadnego okupu. *n.*

Zawód.

Po tylu krzykach, zaklęciach, namowach, dowodzeniach — kupują u Niemców i zamiast do wód krajowych jeżdżą do „badów“! Hetmani wojny papierowej z hakatystami załamują ręce nad bezskutecznością swych wysiłków. Czy ona niczego ich nie uczy? Poszukajmy morału, zwłaszcza że on leży na wierzchu. Niewątpliwie, my nieraz bywamy bardzo lekkomyślni, a kto dowierza naszej wytrwałości, ten buduje na ruchomym piasku. Ale czego też od nas nie wymagają! Przedewszystkiem, ażebyśmy nasz rozum i nasze życie dopasowali do tych szerokich ram, jakie pusty frazes dla nich przygotowywa. Rzeczywiście, my wielu przedmiotów możemy i powinniśmy nie kupować od Niemców, wiele potrzeb naszego zdrowia da się zadowolić gdzieindziej, ale jak zaczęto wmawiać w ogół, że on ma wszystkie produkty i wszystkie wody lecznicze w kraju, tak on zrażony przesadą zlekceważył nawet te rady i napomnienia, które były słuszne. Nie należy w takich pouczaniach zapominać, że ludzie mają swój krytycyzm i swoje interesy, że oni muszą widzieć wyraźnie nakreśloną granicę między koniecznością a dowolnością i że długo nie dadzą się odurzać najwznioślejszą deklamacyą. Kto potrzebuje Marienbadu, rozśmieje się z dowodzeń, że bez żadnego ryzyka może go zastąpić jakąś wodą krajową i pojedzie do niemieckiego „badu.“ *o.*

Podwójny dyrektor.

Z czego oni się nie cieszą, ci łechtacze społeczeństwa, ci dziennikarze, harmonizujący nawet wycia psów i miauczenia kotów w pięknie brzmiące serenady! Naturalnie cieszą się i z tego, że p. Młynarski, dyrektor Filharmonii, zostaje dyrektorem konserwatoryum. Jeden z nich, w wagonie kolejowym, „przy rozesłanych łóżkach,“ dokonał „wywiadu,“ z którego okazuje się, że pana M. — jak on twierdzi — dlatego powołano na nowe stanowisko, ażeby „nie obrazić pp. Noskowskiego, Michałowskiego, Barcewicza i Roguskiego,“ mających również słuszne prawo i 2) że Filharmonia i Konserwatoryum zyskają na takiem połączeniu pod jednem kierownictwem. Gdybym chciał dowieść publicznie, że oś ziemi przy biegunie północnym jest codziennie smarowana przez białe niedźwiedzie, a przy południowym przez wieloryby ich własnym tłuszczem, powierzyłbym tę sprawę reporterowi, a on by ją z pewnością najpoważniej wyłożył i mózgom ludzkim narzucił. On również tylko, nieustraszony w odwadze i niepokonany w języku, może oświadczyć, że gdy jeden człowiek obejmie kierownictwo dwu instytucyj, obie na tem zyskają. Nie na takie już „kumulacye posad“ patrzyliśmy i patrzyć będziemy wyrozumiale i głupkowato, ale żebyśmy mieli z tego się cieszyć, tego jeszcze żaden dziennikarz od nas nie wymagał. *h.*

Telefony.

Goniec poniedziałkowy podaje wiadomość o wymówieniu przez Tow. „Cedergren“ miejsca od 1 października wszystkim monterom Polakom, których zastąpić mają Szwedzi i Niemcy. Dziwnie obojętną i głuchą na wszelkie wołanie jest ta instytucya. Pracowniczki oddala z przyczyny, że „panie są zabardzo inteligentne,“ to znowu sprowadza rzemieślników cudzoziemców zamiast krajowych. Prawda monopol państwowy uwalnia towarzystwo „Cedergren“ od wszelkiej konkurencyi. Telefony stały się przedmiotem tak niezbędnego użytku, że nawet ta bezceremonialna gospodarka odstraszyć od nich nie może. Lecz do czasu dzban wodę nosi. A nuż i nasz chorobliwie cierpliwy ogół oburzy się nareszcie na to zuchwałe lekceważenie jego praw przez cudzoziemskich kapitalistów i zdobędzie się na jakąś akcyę wspólną ... *ɪ.*

Kondycye.

Opowiadania znajomych studentów przypomniały mi znowu, jak obchodzi się nasz ogół z ową ukochaną młodzieżą uniwersytecką. Oto maleńka próbka: Zamożny fabrykant z osady, niedaleko położonej od Warszawy, umawia się z studentem o przyjazd na tak zwaną kondycyę. Warunki ułożone, dzień przybycia studenta naznaczony. Młody człowiek odmawia wszelkie inne zaofiarowane mu miejsca, nie bierze lekcyi w Warszawie i szykuje się do wyjazdu. Tymczasem ostatniego dnia zjawia się przyszły pracodawca i mówi bez wielkiego zakłopotania: rozmyśliliśmy się, nie oddamy syna do gimnazyum i... Ładne postawienie kwestyi prawda? Wypadek ten nie jest bynajmniej sporadycznym. Co rok można słyszeć o podobnych zdarzeniach. *b.*

Pocztówki.

W ubiegłym tygodniu policya wykryła przedsiebiorstwo, zajmujące się hurtowną dostawą pornograficznych pocztówek dla stałych agentów i odbiorców. Naturalnie, fakt ten wywarł pewne wrażenie w świecie dziennikarskim. Ujrzano w tem nowy stopień wzrastającego zepsucia itd.

Bez zaprzeczenia jest to rzecz smutna i nasuwająca różne uwagi. Tylko że ci, co się w tej kwestyi odezwali, nie powiedzieli nic, coby objaśniło potrzebę ich przemówienia. Dopatrzono się w tych pocztówkach nowego niebezpieczeństwa dla młodzieży, która „i bez tego coraz bardziej tonie w morzu rozpusty“ itd.

Otóż to przedewszystkiem wydaje mi się niesłusznem. Uprzytomnijmy sobie nasze „męzkie“ towarzystwo, to, o czem lubią szeptać lub głośno mówić (to już zależy od temperamentu) nasi starsi panowie, „ojcowie rodzin,“ „filary społeczeństwa,“ ci, którzy na życie patrzą „rozsądnie, statecznie, poważnie.“ Rozmowa ożywia się na-

tychmiast skoro przy akompaniamencie filuternego mrugania, pan radca, człowiek wielu towarzystw filantropijnych, pocznie przypominać sobie słyszane „kawały.“ Otóż, na zasadzie znajomości rozmów, najbardziej interesujących dla znacznej liczby panów dojrzałych i przejrzałych, pozwolę sobie przypuścić, że nietylko „młokosy“ lubią „fein obrazki.“ Wiem o ludziach z uniwersyteckiem wykształceniem, którzy specyalnie sprowadzali sobie ten towar z paryskich agentur.

Poza tem jeszcze jedna uwaga. Czy przez usunięcie kart z rozpustnymi widokami, uleczymy dzisiejszy stan rzeczy? Czy rozpusta opiera się wyłącznie na złym przykładzie i chęci naśladownictwa? Takie rzeczy, jak owe pocztówki, to tylko przejawy ciemnej strony dni dzisiejszych, lecz nie przyczyny. Jak każdy towar wywołuje je także zapotrzebowanie. Pioruny ciskane na handlarzy słusznie się im należą. Lecz większą jeszcze uwagę należy zwrócić na stałe gnojenie się mózgu w licznym zastępie ludzi, uważających, że prostytutki to taki sam środek hygieny, jak kanały lub wodociągi.

Kwestya to wielkiej wagi. Ściśle związana z całokształtem „normalnego“ życia dzisiejszego, należy do zagadnień najbardziej trudnych. Nie należy uchylać się od jej rozpatrywania, lecz nie można bagatelizować jej w płaskich, czułostkowych utyskiwaniach, a trzeba wejrzeć w treść zagadnienia, aby znaleźć jeszcze jeden dowód, że dzisiejsze normy życiowe zmurszały już od podstaw i należy myśleć o zbudowaniu nowych. *br.*

Pomoc dla nieletnich.

Pisma codzienne doniosły o nowej próbie, mającej na celu rozwiązanie palącej kwestyi obrony nieletnich w sądach pokoju. Grono pracowników dobrej woli postanowiło zorganizować stałą, systematycznie prowadzoną akcyę w tym kierunku; szczegółów nie przytaczam, bo każdy zna je z gazet. Idzie mi tylko o podkreślenie tego zapoczątkowania. Człowiek szczerze oddany swemu zadaniu ma tu niesłychanie wielkie pole dla pracy, niosącej znaczną korzyść społeczeństwu.

Rozprawy w sądach pokoju, pomimo swojej nużącej monotonności dają wiele materyału do poznania psychologii szerokich mas ludności, jej potrzeb, jej życia, jej biedy. Tu przesuwa się cały ogrom nędzy i niedoli. Małoletni przestępcy bywają częstymi gośćmi. Sprawa w sądzie toczy się zgodnie z pewnym, stałym mechanizmem. Sędzia pokoju nie może wchodzić w położenie psychiczne każdego oskarżonego; tu więc otwiera się pole dla obrony. Uchronić dziecko od zamknięcia w więzieniu, owej szkole przestępku, dać jego losom bardziej zgodny z potrzebą ogółu kierunek, wynagrodzić choć w małej części krzywdę, jaką mu wyrządziło życie, wyrzucając na bruk, to szczytna misya, nic więc dziwnego, że są ludzie, którzy się jej podjąć pragną.

Z czasem może obrona ta rozszerzy swoją działalność i na pełnoletnich. Kto zna sądy pokoju, wie jaki jest poziom kulturalny sądzonych za drobne przestępstwa. Nie potrafią nawet wyjaśnić sprawy, gmatwają się, wikłają w tłomaczeniu. A przytem jakie tu bywają nieraz straszne i poplątane okoliczności. Człowiek, który nie miał nigdy do czynienia z sądami ze strachu nie umie mówić. Jest więc wielkie pole dla obrony przez zawodowych prawników. Nie wiem jakie koleje przyjmie ta sprawa w przyszłości. Dzisiaj należy tylko wyrazić gorące uznanie inicyatorom projektu i życzyć im, aby opierając się na istotnem zrozumieniu potrzeb ludności, zdołali spełnić swój zamiar z pożytkiem dla ogółu. *z.*

BADANIA NAUKOWE.

Odżywianie się komórek.

Zjawiska życiowe, związane z nieustannem wyładowywaniem energii i przemianą materyi, wtedy tylko mogą zachowywać przebieg normalny i napięcie prawidłowe, jeżeli odbywa się bez przerwy ciągły dopływ pokarmu, tego surowego materyału, z którego budować się mają zużyte przy pracy życiowej cząsteczki i który jest źródłem wszelkiej energii życiowej.

Rzecz prosta, że w organizmach wielokomórkowych pokarm pochłaniany w ten lub ów sposób zużytkowywany bywa wyłącznie przez zrzeszone komórki, one to bowiem są ogniskami wszystkich zjawisk życiowych, w nich tylko odbywa się przemiana materyi i energii.

Sposoby pobierania pokarmu przez komórki są różne, zależnie od własności tego pokarmu i od natury komórek. Pomimo jednak całej różnorodności materyału, zużytkowywanego przez różne kategorye komórek na pokarm, wyróżniono dwie zasadniczo odrębne grupy tych jednostek życiowych: komórki roślinne i komórki zwierzęce. Już bardzo dawno zauważono istotną różnicę odżywiania się roślin i zwierząt. Wszystkie rośliny zielone pobierają z gleby i z atmosfery ciała nieorganiczne, budowy chemicznej bardzo prostej i z nich tworzą bardzo skomplikowane składniki ciała roślinnego, nagromadzając przy tem w sobie energię światła słonecznego w stanie ukrytym, potencyalnym. Zwierzęta zaś — przeciwnie, wszystkie bez wyjątku, dla podtrzymania swego życia potrzebują bardzo złożonych ciał organicznych, obfitujących już w energię potencyalną. W ostatecznym swym wyniku życie roślin sprowadza się do skupiania, do nagromadzania spływającej na glob nasz energii słonecznej, życie zaś zwierzęce i ludzkie związane jest z jej rozpraszaniem, wyładowywaniem.

Spostrzeżenie to ma niezmiernie wielką doniosłość i ułatwia nam znakomicie pogląd na istotę zjawisk życiowych, zachodzących w ciele roślinnem i zwierzęcem; uzasadnia ono następnie to orzeczenie, że świat zwierzęcy nie może obejść się bez świata roślinnego. Istnieje wprawdzie znaczna ilość gatunków zwierząt mięsożernych, potrzebujących pokarmu zwierzęcego, dostarczanego im przeważnie przez zwierzęta roślinożerne; i tu jednak widzimy bardzo ścisłe, choć tylko pośrednie uzależnienie ich od roślin. Bez roślin świat zwierzęcy musiałby zginąć niechybnie, ponieważ tylko te zielone istoty mogą na drodze syntezy budować z ciał nieorganicznych niezbędne dla zwierząt białka, tłuszcze i węglowodany.

Nie można więc odmówić słuszności tym „naturfilozofom“ z początku ubiegłego stulecia, którzy całe państwo zwierzęce uważali za pasorzyta świata roślinnego.

Przez długi czas utrzymywało się przekonanie, iż pod względem odżywiania się istnieje tak zasadnicza różnica pomiędzy roślinami i zwierzętami, że wszystkie komórki żyjące podzielić można na dwie odrębne kategorye: komórki roślinne i komórki zwierzęce. Dziś wiemy, że różnica ta daje się zauważyć tylko w pewnych granicach, mianowicie: o ile dotyczy komórek zwierzęcych z jednej strony a *zielonych* komórek (zawierających chlorofil) roślinnych — z drugiej. Reszta zaś komórek tych ostatnich, barwnika zielonego pozbawionych jak np. u grzybów, ze względu na przemianę materyi stanowi niejako przejście od roślin do zwierząt.

Grzyby np. nie mają zdolności pobierania dwutlenku węgla z atmosfery, jak rośliny zielone, węgiel pobierają one, jak zwierzęta, z ciał organicznych, z białka, węglowodanów itp. Co do azotu zaś, to biorą one go, jak wszystkie rośliny, z gleby w postaci mineralnych związków azotowych, podczas gdy zwierzęta i ten pierwiastek otrzymywać mogą tylko ze złożonych ciał organicznych — z białka i jego pochodnych.

Odrębne stanowisko pod względem odżywiania się zajmują niektóre z najniżej zorganizowych istot — z bakteryj. Pozbawione zwykle barwnika zielonego, mogą one mimo to odżywiać się wyłącznie, pokarmem natury organicznej. Niedawno odkrytą została przez Winogradzkiego (Annales de l'institut Pasteur 1890) bakterya Nitromonas, hodowana na pożywce wyłącznie mineralnej (głównie węglanem amonu.)

Wewnątrz komórek, jak w tajemniczej pracowni chemicznej, odbywają się wszelkie, po większej części w przebiegu swym jeszcze niewyjaśnione należycie przemiany, oznaczone nazwą asymilacyi. Nietylko bowiem wspomniane bakterye, w rodzaju Nitromonas, z jednych ciał o budowie bardzo prostej wytwarzać mogą najrozmaitsze związki organiczne, wchodzące w skład materyi żywej, w tym samym kierunku uzdolnione są i komórki ciała zwierzęcego oraz roślinnego. Gąsienicy np. móla, zjadającego sukno i futra, za pokarm służy wyłącznie włos zwierzęcy (sierść), złożony prawie z czystej *keratyny*. Z tego więc jednego, *surowego produktu* wewnątrz komórek gąsienicy są „fabrykowane“ wszystkie składniki zasadnicze, niezbędne do powstawania i podtrzymywania materyi żywej. Takim samym uniwersalnym materyałem, pobieranym wyłącznie przez niektóre zwierzęta i zaspakajającym wszystkie ich potrzeby odżywiania jest białko. Pflüger wykazał w l. 1891 i 1892, że pies przez bardzo długi czas żyć może wyłącznie białkiem, przyczem funkcye życiowe jego nietylko nie słabną, lecz przeciwnie występują w spotęgowanej sile.

Po pewnym czasie pies traci cały zapas tłuszczu, jaki posiadał w swem ciele przed doświadczeniem · nie szkodzi to jednak wcale jego zdrowiu.

Wogóle powiedzieć można, iż ze wszystkich ciał organicznych tylko białka są bezwzględnie niezbędne dla odżywiania komórek zwierzęcych, w niektórych zaś razach one jedne wystarczają dla podtrzymania ich życia przez czas nieograniczony.

Słusznie więc Pflüger odróżnia białka, jako „zasadniczy materyał odżywczy“ od węglowodanów, tłuszczów itp., które odgrywają podrzędną, tylko „dopełniającą“ rolę.

Do rzędu zjawisk odżywiania zaliczyć musimy także i pobieranie przez komórki tlenu, jako pierwiastku po większej części niezbędnego dla uwolnienia ukrytej energii potencyalnej, odgrywającego wybitną rolę w sprawie przemiany materyi. Nie do wszystkich organizmów dostaje się tlen w jednakowej postaci i z tego samego źródła: lądowe czerpią go z atmosfery w stanie lotnym, wodne — korzystają z tlenu, rozpuszczonego w wodzie, komórki zaś tkanek zwierząt, opatrzonych w narządy oddychania i krążenia oraz niektórych pasorzytów odrywają go od związków chemicznych, a mianowicie: komórki tkanek od hemoglobiny krwi, z którą tlen pozostaje w bardzo luźnym związku, niektóre zaś pasorzyty od pewnych, nawet bardzo trwałych związków.

Wszystkie komórki bez wyjątku pobierać muszą wreszcie wodę bądź jako normalny, zwykły rozpuszczalnik wchłania-

nych soli, bądź jako środowisko, ułatwiające wewnątrzkomórkowe reakcye, bądź wreszcie jako składnik tworzącej się materyi żywej.

Co się tyczy sposobów i dróg, jakiemi pokarm i wogóle ciała niezbędne do odżywiania przenikają do wnętrza komórek, to bywają one rozmaite, zależnie od tego, czy ciała te są w stanie lotnym, płynnym, rozpuszczonym lub stałym.

Przeważna część komórek, a mianowicie prawie wszystkie tkanki zwierzęce, większa część roślinnych i wiele organizmów wielokomórkowych pobierają pokarm wyłącznie płynny, przyczem może on być bądź sam przez się takim, bądź doprowadzonym do tego stanu za pomocą specyalnych wydzielin po za komórką. Niewiele stosunkowo komórek przystosowało się do pochłaniania pokarmu w stanie stałym.

Pobieranie pokarmu lotnego lub płynnego, czyli t. zw. wchłanianie (resorptio) odbywa się rozmaicie, zależnie od tego czy wchłaniające komórki okryte są z zewnątrz błonami, czy też nagie. W komórkach pozbawionych błon zewnętrznych (nagich) wszelkie rozpuszczone materye odżywcze wchodzą w bezpośrednią styczność i reakcyę chemiczną z materyą żywą na powierzchni zarodzi (protoplazmy). Inaczej rzecz się ma z komórkami, okrytemi z zewnątrz błonami.

W tym wypadku niezbędny jest warunek, aby ciała pokarmowe zdolne były do dyfuzyi, do przenikania przez błony. Pozbawione tej własności ciała (kolloidy) muszą być przedewszystkiem przeistoczone w taką postać, która dyfuzyi podlega (krystaloidy).

Każda więc komórka żyjąca musi pozostawać w bezpośredniej styczności z płynnemi cząsteczkami pokarmu.

(D. n.).

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA

ODGŁOSY.

Kazimierz Gliński: *W Babinie*. 2 tomy. — Anna Świderska: *Obok szczęścia*. Nakł. Gebethnera i Wolffa, Warsz., 1903. — Tadeusz Jaroszyński: *Dla nich*. Nakł. synów St. Niemiry, Warsz. 1904.

Obok autorów młodego pokolenia, które śmiało zrywa z szablonem, mamy cały szereg pisarzy, nieczujących potrzeby szukania dróg nowych, niewnoszących do literatury „niezdrowych pierwiastków,“ ani „szkodliwego fermentu.“ Nie idą oni naprzód i nie cofają się: stoją w miejscu. Twórczość ich, pozbawione cech świeżości, starem płynie korytem. Pisarze ci (na czele ich postawiłbym Sienkiewicza) tworzyli przeszłość i stanowią część teraźniejszości, ale przyszłość nie do nich już należy. Ich powieści — to jak gdyby echo minionych czasów, jak gdyby daleki odgłos pobudki, która brzmiąc na starą nutę, przypomina dobrze ograną melodyę i dzisiaj już nie budzi oddźwięku. Tak pisało się wczoraj, tak można pisać dziś jeszcze, ale jutro inne już zapowiada wymagania.

Do kategoryi powieściopisarzy, którzy się z tem jutrem nie liczą, należy i Kazimierz Gliński. Ostatnia jego powieść: „W Babinie“ nie wnosi do bogatego skarbca literatury naszej nic, bo nic w niej niema, coby już wcześniej przez innych wniesione nie było. W powieści tej spotykamy postaci, dobrze nam znane z historyi, ale sama powieść nie może być nazwana historyczną. Akcya rozgrywa się w drugiej połowie XVI w., a więc w okresie walk religijnych, których podówczas Rzeczpospolita była terenem, lecz walki te słabo zaznaczone zostały. I tła dziejowego nie odmalował autor barwami, dającemi złudzenie rzeczywistości. Nie czynię mu z tego powodu zarzutu, bo pisząc swą, powieść, co innego mógł mieć na celu, ale takiego traktowania tematu i za zaletę nie uważam. „W Babinie“ — to właściwie nawet nie powieść: ze względu na luźną budowę i treść, nazwałbym ją gawędą. A jest to gawęda w miarę ucieszna i w miarę tragiczna, może zająć i zabawić, ale równie dobrze może znudzić i wywołać ziewnięcie. Nie jest to książka piękna, nie jest brzydka, nie jest chybiona, ale i udaną nazwać jej niepodobna. Ma pewne zalety (żywa akcya, różnorodność pomysłów), ale i od wad nie jest wolna, a do nich zaliczyłbym przedewszystkiem ogromne poddanie się wpływowi Sienkiewicza. Wpływ ten szczególniej uwidocznia się w dyalogu. Kto nie przypomni sobie popularnego bohatera trylogii, gdy wyczyta taką np. przechwałkę:

„Rzecz ta wytłomaczenia potrzebuje, ażebym nie był o marne tchórzostwo posądzony. Kto obuchem niedźwiedzia powalił a Kurfantemu szablę z rąk wytrzasnął, tenby i z Solomereckim zmierzyć się mógł i może pewien wiktoryi byłby. Alem nie chciał zakrwawiać progów plebanii i spokoju zamącać, a znając porywczość charakteru swojego, wolałem o dzieży, niż o zbrojnem spotkaniu pomyśleć...“

Albo taki dyalog:

„— A, a!... Szeroko o waćpanu słychać po świecie, szeroko!..

„— Nie dziw, mocium panie!... *I chan tatarski i cesarz niemiecki amicitią moją się szczycą...*“

Ależ są to słowa, jakby żywcem wyjęte z ust Zagłoby!.. Komu znowu nieprzypomni się Rzędzian i jego chciwość, gdy bohater powieści, brat Rupert, przemawia w te słowa:

„Mówiąc: nic darmo nie miałem na myśli dukatów waszmości pana, bo z natury łapczywy nie jestem, a o marności takie nie dbam; jednak z wdzięcznością biorę i chowam, a co do reszty należności, to już polecam się sumiennej pamięci waszmość pana...“

Jeżeli „W Babinie“ przypomina literaturę powieściową z przed lat kilkudziesięciu, literaturę, stworzoną bądź co bądź przez wybitne siły literackie, to powieść p. Jaroszyńskiego: „Dla nich“ przywołuje na myśl przestarzałe, lecz nieudane romanse pisarzy minorum gentium, jak Łoziński, Przyborowski, Skiba, Grudzinski etc. Jest to, pisana podług zwietrzałej już dzisiaj recepty, powieść z tak zw. intrygą, z przejechaniem, uwiedzeniem, fałszowaniem metryk i samobójstwem.

Zamiast uwag krytycznych, przytoczę choćby w grubych zarysach treść, która tym razem sama za siebie mówi bardzo dużo.

Zbigniew Piętnicki, właściciel dóbr ziemskich, ożeniony ze starszą od siebie niewiastą (z domu Ewą Nikocką), po długim pobycie śród obcych, wraca do kraju. W wagonie spotyka drugą Ewę Nikocką (jak się potem okazuje, kuzynkę pierwszej), młodszą i ładniejszą od swojej żony. Pomiędzy Zbigniewem a Ewą nr. 2 zawiązuje się węzeł serdeczny. „Intryga“ wymaga, aby Zbigniew zawiózł pannę Ewę do siebie na wieś, lecz na przeszkodzie temu staje matka panny Ewy. Co robić?... Zbigniew zatrzymuje się w Warszawie. To samo czynią panie. Hm... jakżeby tu pozbyć się matki?.. Eh, bagatela!.. W Warszawie o nieszczęśliwy wypadek nietrudno! I autor poradził sobie doskonale: na zbytecznie wprowadzoną do powieści osobę wypuścił parokonną dorożkę i... panna Ewa została sierotą. Zbigniew, który przypadkowo (!) był świadkiem nagłej i nieprzewidzianej (!) śmierci, zaopiekował się panną Ewą (dopiero teraz dowiedział się o jej nazwisku) i po naradzie familijnej, w której brała udział i Ewa nr. 1, zawiózł obie Ewy na wieś. Potem pomiędzy panną Ewą a Zbigniewem zaczął się romans, a potem... potem wydało się wszystko, nawet coś więcej, bo panna Ewa znalazła się w Warszawie, skąd po pewnym czasie nieciekawy kochanek zawiózł ją do Paryża. Tam przybył pierwszy syn; następnie przybył drugi; obaj, jako urodzeni z Ewy Nikockiej uchodzą za dzieci „prawe,“ a podtrzymanie tej opinii staje się zadaniem, a nawet celem życia Zbigniewa, który w końcu powieści odbiera sobie życie.

Na takiej kanwie łatwo haftować wypadki efektowne i sytuacye dramatyczne, ale, niestety, sama osnowa powieści psuje efekt: sytuacye są zbyt nieumiejętnie naciągane, aby czytelnik wybredniejszy mógł się niemi przejąć. Nic ciekawego powiedzieć nie można i o bohaterach powieści. Płytkość ich walczy o lepsze z banalnością treści.

O wiele korzystniejsze wrażenie wywiera powieść p. Świderskiej („Obok szczęścia“). Nazwisko autorki po raz pierwszy spotykam na karcie tytułowej książki, a jeżeli to debiut, to zaliczyłbym go do obiecujących. Łatwość pisania, trochę temperamentu i śmiałość ręki przy rysowaniu charakterów ludzkich, zdradzają niejaką rutynę i doświadczenie pisarskie, lub też pewność siebie, która ustrzegła autorkę od wahań i błędów, często zdradzających pisarza początkującego. To *plus*. Jako *minus* wytknąłbym płytkie traktowanie bohaterów, którzy, ślizgając się zlekka po powierzchni życia, nie zaglądają w jego głąb, a żyjąc niemal wyłącznie osobistemi troskami, i w samych sobie i w otoczeniu swojem nie dostrzegają nic, co czyniłoby ich ludźmi zajmującymi. Gorzej jeszcze, iż nie dostrzega tego i sama autorka. Najlepiej udał jej się Wituś, siedmioletni, przedwcześnie rozwinięty chłopczyna, spostrzegawczy, mądry nad wiek, niekiedy mądrzejszy od starszych, a przecież zawsze... dzieciak siedmioletni.

Artur Śliwiński.

Linia i kształt.

Kształt i barwa — oto główne podstawy sztuk plastycznych, a każde dzieło sztuki, czystej lub stosowanej, w zewnętrznej swej postaci powstaje z połączenia i ustosunkowania tych dwu pierwiastków zasadniczych. To, co przywykliśmy nazywać treścią wewnętrzną utworu, zwykle tak ściśle i nierozłącznie z tą stroną materyalną się zespala, w samem poczęciu taką nierozdzielną tworzy z nią całość, że określenie granicy między niemi staje się wprost niemożebnem. Dla zrozumienia zatem i odczuwania dzieła sztuki, po za ogólnym rozwojem umysłowym i uczuciowym, niezbędne jest pewne, mniej więcej wyrobione poczucie piękna linii, kształtu oraz harmonii barwnej, tj. zdolności, które już na najniższych szczeblach cywilizacyi u ludzi się przejawiają. A gdy w ostatnich czasach coraz częściej i natarczywiej mówimy o potrzebie kultury i wychowania estetycznego, to w pierwszym rzędzie chodzi tu o budzenie tych zdolności oraz umiejętne i systematyczne ich kształcenie, oczywiście nie drogą teoryi, lecz metody poglądowej. Teoretycznie kwestya ta już wielokrotnie była opracowana, lecz niestety praktyczne jej wnioski,

do niedawna, zbyt rzadko w życiu stosowano. Uczynił to świeżo w sposób bardzo ciekawy dr. F. Deneken, dyrektor Kaiser-Wilhelm-Muzeum w Krefeldzie, jednego z najbardziej żywotnych i ruchliwych muzeów prowincyonalnych w Niemczech.

Przed dwoma laty urządził on tak zwaną „Farbenschau", czyli wystawę dzieł i wzorów artystycznych, mogących się przyczynić do wyćwiczenia i udoskonalenia zmysłu piękna barwnego oraz wyjaśnienia roli i znaczenia koloru w sztukach plastycznych. Jako ciąg dalszy i dopełnienie, p. Deneken w roku bieżącym zorganizował wystawę o programie analogicznym, lecz w szerszym jeszcze zakresie, poświęconą pierwiastkom „Linii i kształtu" w sztuce.

Każdemu, kto się uważnie przyglądał zjawiskom świata zewnętrznego, znaną być musi siła i różnolitość wyrazu, jakie tkwią w linii, bądź w postaci czystej, abstrakcyjnej, bądź gdy się nam jako kontur, kształt płaski i plastyczny, okalający, przedstawia. Jednakowo dobitnie bywa ona wyrazicielem energii i temperamentu indywidualnego np. w charakterze pisma lub w kreskach rysunku, jak zdumiewającej siły kosmicznej przyrody w formach struktury roślinnej, zwierzęcej lub w sylwecie rysującego się na widnokręgu pasma gór. Prócz tego np. w zarysie rzuconego nad przepaścią mostu lub w konturze koła rozpędzonego, odsłania nam ona niejraz i funkcye mechaniczne. Po za tem linia, nawet w formie abstrakcyjnej, znakomicie odźwierciedla rozmaite stany duszy. Któż bowiem niedoświadczył, że linia podłużna, łagodnie przeginana wywołuje w nas uczucie spokoju, wytchnienia, a nierówna, gwałtownie łamana—niepokój i rozstrój; że strzelający w górę pęk linij nastroić może na nutę radosną, a opadający w dół — na żałobną? Przez powtarzanie i symetryczne zdwajanie linii uczucia te nabierają jeszcze większego napięcia. Ma to oczywiście znaczenie pierwszorzędne dla sztuki i jej celów dekoracyjnych i, o ile wogóle wszelkie teorye i systematy estetyczne noszą charakter niestały i problematyczny, o tyle te zasady zdają się być podstawowemi i wiecznemi, a sztuka wszystkich ludów i krajów niezliczoną ilość razy je potwierdza. Otóż, wystawa krefeldska postawiła sobie za cel, zebrać w jedną, systematycznie ułożoną całość szereg utworów sztuki i okazów z różnych epok i dziedzin, wyróżniających się szczególnem pięknem i wyrazistością linii oraz kształtów, w których oba te czynniki, świadomie lub z natury rzeczy, na pierwszy plan występują. Szczegółowy i w objaśnienia zaopatrzony katalog pozwala nam zapoznać się bliżej z zawartością oddzielnych grup.

Zaciekawiał tu przedewszystkiem dział wytworów przyrody, nadobnością, różnolitością i celowością form zmysł estetyczny pociągających i stanowiących niejako niewyczerpaną kopalnię dla coraz to nowszych pomysłów artystycznych. Zebrano odlewy gipsowe zwierząt, szkielety, czaszki, preparaty owadów i fauny morskiej, tak zadziwiająco bogate w motywy zdobnicze, reprodukcyę, rysunki i preparaty roślin dekoracyjnych, a w sąsiedztwie pokazywano utwory sztuki stosowanej, wprost na nich osnute. Dział następny zawierał w oryginałach, reprodukcyach lub zdjęciach fotograficznych, poniekąd kompendyum do historyi sztuki, o ile w niej przeważały linia i kształt. Były zatem wzory sztuki starożytnej, w znacznej swej części monumentalnej, stylowej, z zupełnem prawie pominięciem pierwiastku barwnego, poczynając od potężnej plastyki i architektury Egiptu, wczesnej sztuki słonecznej Hellady, a kończąc najświetniejszym rozkwitem rzeźby greckiej oraz pełnemi wykwintu jej naczyniami glinianemi o niezrównanym ornamencie płaskim. Dalej szły utwory sztuki średniowiecznej i jej stylu hieratyczno-kościelnego, który się tak wspaniale wylał w gotyku, w freskach Giotta i Fra Angelico, rzeźbach Sluter'a, a w którym wszędzie tkwi spotęgowany wyraz linii. Renesans był dość ubogo przedstawiony, a wybrano z arcybogatej skarbnicy malarstwa głównie takich mistrzów, jak Mantegna, Botticelli, Lionardo, Michał Anioł, którzy się odznaczali przeważnie plastycznemi i rysunkowem pojmowaniem kompozycyi. Barok i rococo pominięto zupełnie.

Wzamian, pełniej i wszechstronniej zarysowały się sztuka nowsza i najnowsza. Reprezentowały ją liczne kartony artystów niemieckich z pierwszej połowy XIX stulecia, tak zwanych „Nazarejczyków" w rodzaju Cornelius'a, Genelli'ego, Führich'a, Rethel'a malowidła Feuerbach'a, Marees'a, Ingres'a, Burne-Jones'a i cały szereg prac największego malarza monumentalno-dekoracyjnego ostatniej doby — Puvis'a de Chavannes. Wszyscy oni, jak i późniejsi M. Denis, Gaugin, L. von Hofmann, Maks Klinger, nie mówiąc wcale o rzeźbiarzach Rodin'ie, Meunierze itd. w znacznej części swych utworów dobijali się ekspresyi głównie za pomocą wielkich, monumentalnych linij. Oczywiście nie mogło brakować na wystawie „Linii i kształtu" ilustratorów nowoczesnych i prowodyrów tak zwanego modernizmu w sztuce stosowanej. Z pierwszych katalog wymienia Aubrey-Beardsley'a, T. T. Heine'go, Ch. Doudelet'a, z drugich Henryka van de Velde, P. Behrens'a, Mackintosh'a, Prikker'a i Tooropa. Drzeworyty japońskie, tak wielce powabne w konturach i zdumiewające stylizacyą, oraz odrębne ornamenty wycinane z wyspy Borneo wzorami wschodniemi uzupełniły przegląd sztuki europejskiej.

Bezwzględną nowością były próby nowoczesnej sztuki inżynierskiej w dokładnych modelach, dotychczas prawie niespotykanych na wystawach artystycznych. Snadź p. Deneken z słusznego wychodził przeświadczenia że w śmiałych polotach naszych budowli żelaznych, po za znajomością warunków technicznych, mieści się i myśl twórcza, że w potężnym rzucie sklepienia żelaznego, w prostych a jednak zgrabnych wygięciach linij zasadniczych wielkiego parowca lub w lekkiej napozór koronce mostów objawia się niepośledni pierwiastek piękna. Pierwiastek ten stanowi jedną z charakterystycznych cech rodzącego się w budownictwie i sztukach stosowanych nowego stylu, wyrażającą się w niechęci do przeładowania ornamentacyjnego i dążności do kształtów prostych, technicznie doskonałych, a szlachetnych materyałem niepodrabianym oraz dobitną celowością.

Z sprawozdania naszego widać, że wystawa muzeum krefeldskiego sporo wykazała luk i braków nawet bardzo znamiennych. Lecz o to mniejsza. Po pierwsze bowiem wystawa tego rodzaju, gdyby w zupełności chciała sprostać programowi, urosłaby do niebywałych rozmiarów, powtóre zaś bynajmniej nie chodzi nam o krytykę samej wystawy. Zastanowiliśmy się nad jej programem, jako nad wskazówką praktyczną i godną naśladowania próbą kierunku, w jakim należy rozpocząć szczepienie kultury estetycznej i wyrobienie poczucia piękna wśród szerszej publiczności. Wszędzie, a tembardziej w naszych warunkach, taka działalność powinna się trzymać pewnego planu. Jedynie systematycznie, według określonego programu urządzane wystawy zasadniczych czynników sztuki mogą wywierać wpływ prawdziwie korzystny. Niewątpliwie tylko w ten sposób, nie zaś przez zwykłą, patrokatą mieszaninę szablonowych „salonów sztuki" budzi się i rozwija bierny zmysł estetyczny ogółu. A stać na to każde większe miasto, posiadające jakiekolwiek zbiory i kilku ludzi wykwalifikowanych, którzyby tą sprawą zająć się chcieli. Warszawa posiada pierwsze i drugie, brak tylko dobrych chęci. Może Muzeum przemysłu i rolnictwa lub nowa szkoła sztuk pięknych wypełni kiedyś to zadanie. Spory zasób dzieł oryginalnych w rozmaitych zbiorach, wyroby sztuki ludowej i miejscowego przemysłu wraz z tak rozpowszechnionemi teraz reprodukcyami fotograficznemi dostarczą aż nadto materyału.

Paweł Ettinger.

NA MARGINESIE.

Nowy środek przeciw mikrobom odkryli, zdaje się, dwaj uczeni amerykańscy, G. Moore i C. F. Kellerman. Zdawna umysły ludzkie zajmowało poszukiwanie takiego środka leczniczego, któryby działał uniwersalnie na wszelkie zarazki chorobotwórcze. Istnienia substancyi przeciwmikrobowej nie udało się dotąd wyśledzić. Być może jednak, że odkrycia Moorea i Kellermana wprowadziły zagadnienie na drogę możliwie szczęśliwego rozwiązania. Poszukując sposobu usunięcia z wody, używanej do picia, nieprzyjemnego smaku błotnego, użyli oni w tym celu siarczanu miedzi i przekonali się, że ta sól niszczy niektóre bakterye chorobotwórcze. Jedna część siarczanu miedzi na 100,000 części wody, temperatury zwykłej zabija w przeciągu 3—4 godzin zarazki choleryczne i tyfusowe. Przyczem siarczan może być następnie z łatwością usunięty, co daloby możność, w razie potrzeby, praktycznej sterylizacyi wody w wielkich ilościach. Należy jednak zwrócić uwagę, że przedewszystkiem niezbędną jest rzeczą określenie natury organizmów, zanieczyszczających wodę, którą chcemy odkazić, sprawdzenie jej składu, temperatury, poddanie badaniu pod mikroskopem, zanim oznaczymy ilość siarczanu miedzi, jaką użyć trzeba, gdyż każda woda wymaga odmiennego traktowania. Koszta oczyszczania w takich warunkach są nieznaczne, gdyż dla sterylizacyi 5 milionów litrów wystarcza ilość siarczanu miedzi za 50 franków.

Mózg japoński. E. A. Spitzka, zestawiwszy spostrzeżenia Tagasziego, profesora uniwersytetu w Tokio, nad mózgami japońskimi, Bischoffa i Marchanda nad Niemcami, Gilczenki nad Rosyanami, Retziusa nad Szwedami i Matiegko nad Czechami, twierdzi, że mózg japoński rozrasta się powolniej, niż europejski. Mózg małego Japończyka pomiędzy rokiem 8 a 14 waży przeciętnie 1,235 gr., kiedy dziecka europejskiego w tym samym wieku od 1,300 do 1,250 gr. U Japończyków płci męzkiej mózg osiąga maximum rozrostu pomiędzy 40 a 50 rokiem życia; w stosunku do całego ciała daje cyfrę wyższą, niż dla Europejczyków; tem się też objaśnia nadzwyczajna zdolność tego narodu w kierunku rozwoju umysłowego, politycznego i ekonomicznego.

Kolor jajka może świadczyć o jego dobroci, twierdzą handlujący tym towarem i radzą wybierać ciemno-brunatne raczej, niż białe. Hodowcy drobiu z tej racyi uciekają się nawet do sztucznego zabarwiania skorupki jaj, idących na sprzedaż. Angielski *Lancet*, ostrzegając przed tem oszustwem, prowadzonem podobno na wielką skalę, oświadcza jednocześnie, że nie z koloru skorupki, lecz po zabarwieniu żółtka należy sądzić o dobroci jajka: blado-żółte, jako pochodzące od kury anemicznej i zawierające mało żelaza, przedstawia niewielką wartość. Im zaś jest czerwieńsze, tem więcej ma w sobie żelaza a przeto i bardziej pożywnem być musi. Z doświadczeń poczynionych w tym względzie w szpitalach, przekonano się, jaką różnicę w odżywianiu chorych stanowi karmienie ich tylko jajami z czerwonemi żółtkami.

Dwa nowe pierwiastki radio-czynne, towarzyszące thorium, odkrył podobno dr. Baskerville, profesor chemii w jednym ze znaczniejszych uniwersytetów amerykańskich. Nazwał je on *carolinum* i *berzelium*. Cząsteczki tych ciał przedstawiono Williamowi Crookesowi do zbadania. Wkrótce więc dowiemy się, jaka jest rzeczywista wartość tego odkrycia i czy istotnie, jak przypuszcza Wiliam Ramsay, pozyskaliśmy nową zdobycz w kierunku studyów, rozpoczętych przez państwa Curie.

Z PRASY.

— *Kuryer Sosnowiecki* zamieścił list jednego z wychodźców, pisany z Ameryki:

Broklin, 14 maja.

Szanowni Państwo! Bardzo przepraszam, że z drogi nie pisałem listu, lecz nie wiedziałem, że tych, co wykupują „szyfkartę“ odrazu, to zamykają i nie wypuszczają do miasta zupełnie. Tak się też stało i ze mną, kiedy przybyłem do Hamburga i okazałem moją „szyfkartę,“ to mnie zaraz zamknęli i wypuścili dopiero wtedy, kiedyśmy już mieli wsiadać na okręt; nie mogłem więc kupić marek, a dwie marki, kupione jeszcze u agenta w Ostrowiu, zużyłem na listy do moich rodziców. Do Banacha napisałem list bez marki, miałem życzenie napisać tak samo i do Państwa, ale nie chciałem narażać państwa na dubeltowe płacenie za marki. Niech się więc Państwo nie gniewają na mnie o to, a teraz ja opiszę, jaką miałem podróż przez morze.

Nie życzyłbym nikomu więcej jechać na Hamburg, bo to jest najpodlejsze miejsce, że niech Bóg święty zachowa najgorszego mojego nieprzyjaciela. Raz, że zamkną w biurze, jak złodzieja i nie wypuszczą do miasta, tak, że nic nie może dostać i trzeba jeść to, co tam dadzą, a życie dają okropne, takie, że u nas psy lepiej karmią.

Na okręcie jest również źle, bodaj gorzej jeszcze, niż w Hamburgu. W piątek, tj. 22 kwietnia, wsiedliśmy na parowy statek i jechaliśmy 5 godzin, aż przybyliśmy do okrętu.

Na okręcie obchodzą się z pasażerami nie jak z ludźmi, a pakują jakby jakie bydło. Życie niedobre, bo choć mięsa dają dosyć dużo, lecz gotują bardzo obrzydliwie: zabijają wołu, zaraz obdzierają ze skóry, porąbią i nie płucząc odrazu gotują. Przytem nie solą; kartofle dają w łupinach i dwa razy gotowane, pierwszy raz są napół ugotowane, a do reszty ugotują na drugi dzień. Obiad więc składa się z zupy z ryżem, mięsa i kartofli, cóż kiedy to wszystko tak przygotowane, że jak zaleci para z tych potraw, to człowiek już ma dosyć i nie potrzebuje brać na wymioty, bo się zdaje, że wszystkie wnętrzności z człowieka wyrzuci. Z początku też podróży nikt tego nie je, tylko leży jak Łazarz, z powodu głodu, a następnie bujania się okrętu. Ja chorowałem przez 8 dni, myślałem, że już nie dojadę; wzięli mnie do szpitala, byłem tam jeden dzień i uciekłem, tak męczą ludzi te szwaby, że litość bierze patrzeć: felczer rzuca i trzęsie człowiekiem, jak workiem, korzystając, że ten w słabości nic mu powiedzieć nie może. Prawdę powiedzieć, cała taka podróż to katusze, których człowiek nic jest w stanie sobie wyobrazić.

Mieliśmy strach okropny — burza była ogromna, okrętem bujało, jak skorupą z jajka, a przecież okręt to bardzo był duży i dłuższy niż kościół w Sosnowcu i taki wysoki. Ludzi jechało na nim 4 tysiące.

Jak przyszła burza, to na oceanie okręt wciąż szpicem nabierał wody na pokład. A pierwszego maja w nocy myśleliśmy, że okręt tonie, bo marynarze odkręcili na ostatniem piętrze wodociąg i nie mogli go nazad zakręcić, woda lała się do środka ogromnie. Ja jeszcze nie spałem, tylko rozmawiałem z Żydami, co jechali z Rosyi; w kajutach wszyscy spali, a było nas po 190 w kajucie. Gdy się woda nalewała, to uciekło nas na razie tylko kilku na pokład, a resztę zamknęli w kajutach i nie puszczali. Wody było pełno w środku, ludzie pozrywali się ze snu, chcieli wylecieć na pokład, ale nie mogli, bo kapitan kazał pozamykać wszystkie wyjścia na pokład. Oczekiwali, że woda w pół godziny zaleje wszystko i okręt zatonie. Dano sygnał na alarm, żeby łódki popuszczać na pokład i wszyscy okrętowi urzędnicy powsiadali i czekali drugiego sygnału do ucieczki, a my między nimi siedzieli gotowi. W środku zaś okrętu słychać było jakby okropny ryk zwierząt dzikich.

Chwała jednak Bogu, wodę z kajut wypompowali i nas dopiero rano wpuścili pod pokład. Kiedyśmy weszli, to wszyscy ludzie byli przemoczeni, z łóżek lała się woda i dużo ludzi było pokaleczonych.

Taka była podróż moja do Ameryki, gdy sobie ją wspomnę, to aż mi się zimno robi i proszę Boga, żeby Bóg więcej zachował od takiego nieszczęścia.

A teraz donoszę Pani sumienną i sprawiedliwą prawdę, żeby się Pani nie martwiła o dzieci, bo są z łaski Boga wszyscy zdrowi.

Z szacunkiem *Bolesław G.*

— *Mosk. Wied.* przytaczają następujący fakt, ręcząc za jego autentyczność:

„Zamach na gen. Bobrikowa wykonany był w czwartek, 16 czerwca, a o 1-ej w nocy na 17-ty generał umarł. Otóż w tenże piątek, 17 czerwca, wielki dziennik sztokholmski *Aftonbladet* (ulubiony przez Finlandczyków zakordonowych, rozpowszechniających w nim kłamstwa i oszczerstwa pod adresem polityki rosyjskiej) w nr. 138 zamieścił wielki, szczegółowy artykuł o gen. Bobrikowie i o Szaumanie i dodał do tego portret Szaumana.

Jakim sposobem w redakcyi *Aftonbladet* mogła być już rano w piątek gotowa klisza portretu zabójcy? Bo chociaż dziennik ten wychodzi po obiedzie, a więc można było w kilka godzin zrobić kliszę, to jednak nie można było tak prędko dostać z Finlandyi samego portretu i właśnie Szaumana.

Czy to nie znaczy, że w Sztokholmie byli przyjaciele Eugeniusza Szaumana, wtajemniczeni w plan przestępstwa i poinformowani zawczasu, że 16 czerwca będzie strzelał właśnie Eugeniusz Szauman? W takim razie i portret można było przygotować zawczasu...“

— *Warsz. Dniewnik* pisze: „Doszła do nas uporczywie krążąca pogłoska, jakoby do lecznicy Elżbietanek, zgromadzenia Czerwonego Krzyża, dostawiony miał być z Dalekiego Wschodu, żołnierz z obciętemi nogami; że o przybyciu jego dano znać jego żonie, kobiecie prostej, która zobaczywszy męża w tak rozpaczliwym stanie kaleką, „wyrzekła się go.“ Ta pogłoska, podobnie jak wiele innych, Bóg wie w jaki sposób powstających, a działających podniecająco na tłum, nie ma najmniejszej podstawy. Wogóle dotąd do kraju ani jeden chory czy też raniony nie był przysłany, z wojny zaś powróciło tylko kilku lekarzy miejscowych, którzy byli na Dalekim Wschodzie i zostali zwolnieni z powodu stwierdzenia u nich niedomagań, przeszkadzających im w pełnieniu ciężkiej służby lekarza na teatrze działań wojennych.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Finl. Gaz.* donosi, że do czynności radnych m. Friedrichsfamu przyjęto wyłącznie język fiński jako urzędowy.

— *Pribaltijskij Kraj* ogłosił odezwę gubernatora ryskiego, zabraniającą zbiegowisk i zgromadzeń ulicznych pod karą 500 rb. lub 3 miesiące więzienia.

— P. Emilia Blochowa, wykonawczyni testamentu swego męża, przeznaczyła 50,000 rb na popieranie przemysłu ludowego w Królestwie Polskiem. Fundusz oddany został do dyspozycyi sekcyi przemysłu drobnego przy Warsz. Tow. przem. i handlu. Drugą sumą, 70,000 rb., przeznaczoną pierwotnie na założenie kasy pożyczkowej dla młodzieży kształcącej się w wyższych zakładach naukowych, której władza nie zatwierdziła, zostało obdarzone warsz. Tow. dobr., na utrzymywanie dwóch sal zajęć dla chłopców i dziewcząt.

— W *Warsz. Dn.* czytamy: „Komunikują nam następujące szczegóły o manifestacyi żydowskiej w dniu 7 lipca. Na skutek wiadomości, że izraelici zamierzają uczcić demonstrancyą zgon syonisty dr. Herzla, w którym to celu żądali i przymuszali kupców do zamknięcia sklepów na Nalewkach, komisarz — 2 i 4 cyrkułu przybyli na miejsce rozpoczynającego się zbiegowiska Żydów na rogu Nalewek i ulicy Świętojerskiej. Na widok ich tłum ruszył z miejsca i zaczął spacerować po Nalewkach. Niektore sklepy na tej ulicy wystawiły fotografię Herzla w ramach spowitych krepą, z objaśnieniem, że sklep zamknięto z powodu jego śmierci. Przedsiewziętemi przez policyę środkami ramki i portrety były usunięte, sklepy zaś pootwierane. O godzinie 12 w południe tłum, wzmocniony przez Żydów, idących zwartą masą ulicą Gęsią od strony Dzikiej, objawiał jawny zamiar demonstrancyi. Dzięki energicznym środkom, tłum był rozpędzony, a o godzinie 1 po południu przywrócono zupełnie porządek.“

— Według sprawozdania komitetu pomocy dla Żydów kiszyniowskich, którzy ucierpieli podczas zeszłorocznych zaburzeń antisemickich, ofiary płynące z kraju i zagranicy dosięgły sumy 1,010,343 rb., którą rozdzielono między poszkodowanych lub przeznaczono na różne cele z tą sprawą złączone.

— Według ostatnich obliczeń Kraków posiada 97,842 mieszkańców — 48,160 mężczyzn i 49,682 kobiet; 70,552 chrześcian i 29,240 Żydów.

— Instytucya kolonij letnich w Berlinie wysłała dziatwę do prowincyj polskich w celu dania jej możności łatwiejszego wyuczenia się mowy ojczystej

— W Malabergo, w Hiszpanii, przyszło do starć krwawych między strajkującymi a pracującymi robotnikami wiejskimi. Zastęp tych ostatnich schronił się do domu, który przeciwnicy podpalili — uchroniła od niechybnej i strasznej śmierci zamkniętych w płonącym budynku żandarmerya, która nadbiegła z po[illegible]

Szkoły i wychowanie. Zniesione zostało zastrzeżenie, nadające ulgi wojskowe tylko tym uczniom szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda, którzy zapisali się do niej od roku 1903 — z praw przyznanych tej szkole korzystać będą wszyscy jej uczniowie.

— Na kursach żeńskich w Petersburgu postanonowiono utworzyć wydział prawny.

— Wydano rozporządzenie, aby wychowańcom szkół dwuklasowych typu r. 1826, w których obowiązuje program wykładów nie niższy od programu szkół dwuklasowych wiejskich nowego typu, nadano także prawa do służby wojskowej, z jakich korzystają uczniowie tych ostatnich.

— *Gaz. Pols.* donosi: Ministeryum oświaty zgodziło się na wniosek jednego z kuratorów okręgów naukowych, ażeby studenci-stypendyści uniwersytetu przed otrzymywaniem stypendyum rządowego, składali deklaracye, że w razie nieskończenia z jakichkolwiek powodów uniwersytetu, lub przejścia do innego, zwracać będą w całości wybrany fundusz stypendyalny.

— Trzyletni kurs seminaryów nauczycielskich uznano za niedostateczny i powzięto zamiar stopiowego przekształcania go na czteroletni.

— Departament rolniczy zawiadomił tutejszy zarząd dóbr państwa, że pozwolenia na urządzenie odczytów ludowych powinni wydawać także [illegible] wie rolnictwa, tam zaś, gdzie ich niema i gdzie do tej pory nie utworzono zarządów ministeryum rolnictwa, pozwolenia te powinny wydawać zarządy dóbr pań[illegible].

— Wakuje stypendyum im. ks. Czartoryskich dla studenta Polaka, pragnącego uzupełnić studya w uniwersytecie fryburskim w Szwajcaryi. Podania przyjmuje prof. Dobrzycki.

Wiadomości naukowe. Dnia 8 sierpnia rozpocznie się w Heidelbergu międzynarodowy kongres matematyków; trwać będzie do 14 września.

— Na dzień 30 lipca zapowiedziano w Brukselli międzynarodowy zjazd fizyologów.

— Pomiędzy 15 a 20 października odbędzie się w Paryżu międzynarodowy kongres w sprawie hygieny mieszkań.

Zdrowie publiczne. Z Petersburga donoszą, iż wobec przepełnienia szpitali dla obłąkanych, ministeryum komunikacyj poruszyło sprawę budowy przy kolejach przytułków dla dotkniętych pomieszaniem zmysłów oficyalistów kolejowych.

Literatura i prasa. Dnia 6 b. m. w Ojcowie, na złomie skalnym, umieszczono tablicę z portretem, poświęconą pamięci zmarłego powieściopisarza i pedagoga, Adolfa Dygasińskiego.

— Zabroniono sprzedaży pojedynczych numerów dziennika *Nowosti*.

— Dziennik *Pajvalechti*, wychodzący w Helsingforsie, z rozporządzenia władz zamknięto na zawsze.

— Słyszymy o powieściach, drukowanych w 100,000 egzemplarzach, a jak w Stanach Zjednoczonych nawet w 500,000 i to wydaje się nadzwyczajnością. Tymczasem w Londynie wyszła *Książeczka hymnów metodystycznych* w cenie 2 szyl. w ilości $1^1/_2$ miliona egzemplarzy. W siedmiu drukarniach było 40 maszyn zajętych jej odbijaniem w ciągu kilku miesięcy, użyto na nią pięćset ton papieru. Więcej niż 500,000 egzemp. było już naprzód zamówionych. Nic podobnego niewidziano od czasu wydania *Nowego testamentu* przez uniwersytety.

Sprawy ekonomiczne. W *Warsz. Dn.* czytamy: Ministeryum rolnictwa zbadało, iż ludność włościańska w okręgu fabrycznym łódzkim, a nawet w odleglejszych od Łodzi okolicach, znajduje się w rękach łódzkich fabrykantów żydowskich. Fabryki rzeczone, produkując bardzo niewiele, skupują tkaniny wyrobu włościańskiego, wykończają je na swoich maszynach apreturowych, w które ludność zaopatrzyć się nie jest w możności, i następnie sprzedają pod swoją marką. Ażeby wyzwolić włościan od tej zależności, ministeryum rolnictwa projektuje założenie w Łodzi wykończalni, wyłącznie do odrabiania tkanin włościańskich która będzie przyjmowała wyroby włościan i sprzedawała następnie na ich rachunek z potrąceniem jedynie kosztu wykończania.

— W Warszawie powstać ma Towarzystwo firmowo-komandytowe w celu ułatwiania spółkom włościańskim kupna różnych towarów.

Koleje i komunikacye. Ustalono ostateczne przepisy dla podróżujących klasą czwartą. Pasażerowie tej klasy mogą być przewożeni w pociągach mieszanych, robotniczych (gdzie takie są w użyciu) lub wreszcie w specyalnych towarowych o biegu przyspieszonym, w żadnym zaś razie w pasażerskich. Gdzie niema specyalnych wagonów pasażerskich, powinny być używane wagony towarowe z odpowiedniem urządzeniem [illegible].

Katastrofy. Parowiec duński, „Norge," wiozący 644 podróżnych, przeważnie emigrantów, zatonął pod Rockhall; z liczby tej ocalało zaledwie 129 osób, uratowanych przez statek rybacki „Salvia." Pomiędzy podróżnymi było 79 Duńczyków, 68 Szwedów, 295 Norwegczyków, 14 Finów i 236 osób pochodzących z państwa rosyjskiego.

Zmarli. Mikołaj Dubrowin, historyk rosyjski, w Petersburgu.

— Jerzy Fryderyk Watts, wybitny malarz i rzeźbiarz, w Londynie, w 87 roku życia.

— Teodor Herzl, przywódca syonistów, pisarz i publicysta, w Edlach, pod Wiedniem.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Wacławowi N. w Łodzi. Nie wydrukujemy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 2 Іюля 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.